

magazyn

997

kryminalny

● Nr 15 (1982) ● 7 VIII 1994 ● CENA 9000 ZŁ ●

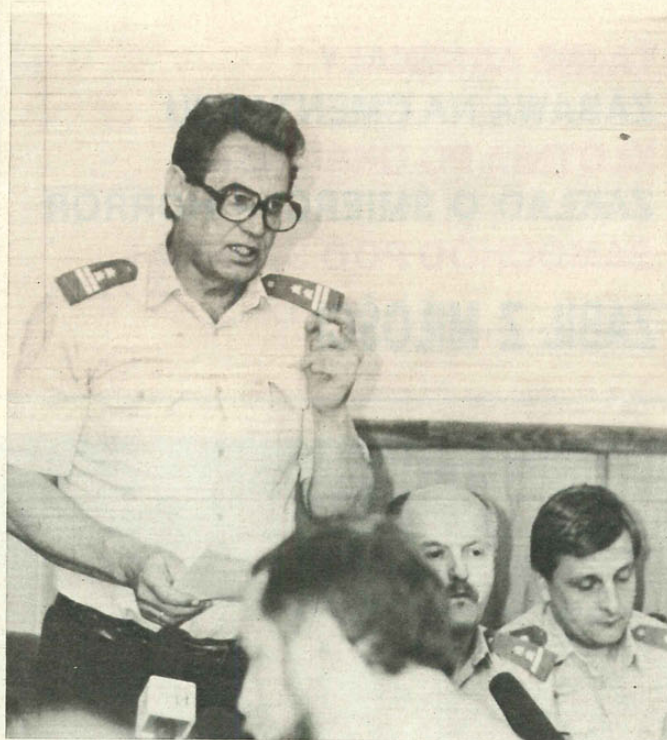
- **TAJNE ARSENAŁY**
- **ZABAWA NA CMENTARZU**
- **KŁÓTNIA PO UKRAIŃSKU**
- **ZAKŁAD O ŚMIERĆ — HORROR**
- **SAMOCHÓD POD STRAŻĄ**
- **ZABIŁ Z MIŁOŚCI**

zdjęcia: Paweł Szlachetko

**O ekscesach
nad wodą**

czytaj str. 18—19





Konferencja prasowa w KSP

PRZED WSZYSTKIM OCHRONA UCZCIWYCH

Pierwsza konferencja prasowa komendanta stołecznego Policji insp. Jerzego Stańczyka zachęcała do udziału kilkudziesięciu dziennikarzy. Przybyli także rzecznicy prasowi KWP z ościennych województw.

— Jako doświadczony gliniarz nie zapowiadałem radykalnej poprawy stanu ładu i bezpieczeństwa w Warszawie — oznajmił na wstępie insp. Jerzy Stańczyk. — Mówiłem natomiast, że musi być postęp, że musi rosnąć efektywność pracy policji. Tych słów dotrzymam. Mogłbym spisać przykładami spektakularnych sukcesów, ale chodzi mi głównie o subiektywne odczucia ludzi. Podczas moich licznych kontaktów z nimi deklarują współdziałanie, ale również wykują błędy, zaniedbania i zdarzające się jeszcze opieszałości policjantów. Moja reakcja na to jest natychmiastowa. I taką będę egzekwował od podległych mi funkcjonariuszy.

Telefony i listy obywateli do komendanta Stańczyka są wyrazem lepszych

odczuć niż przed rokiem. Potwierdzają to dane. W minionym półroczu wszczęto 3 tys. mniej śledztw niż w analogicznym okresie ubiegłego roku; o 30 proc. spadła liczba rozbojów, o 24 proc. włamań do obiektów prywatnych, o 60 proc. liczba fałszerstw. Wykrwalność przekroczyła 30 proc.

Nastąpiły jednak niepokojące zmiany w strukturze przestępczości. O czerniancie przypadków wzrosła liczba zabójstw, o 40 proc. (!) liczba kradzieży i włamań do samochodów.

Kradzieże i okradanie aut stanowią 40 proc. wszystkich przestępstw popełnionych w woj. warszawskim. Aby ukrócić ten proceder, komendant stołeczny powołał specjalne grupy funkcjonariuszy. Działają one w KRP na terenie Warszawy i województwa.

Policja działa sprawniej niż pół roku temu. Ponad 40 proc. sprawców przestępstw funkcjonariusze zatrzymują na gorącym uczynku lub w bezpośrednim pościgu. Funkcjonariusze pionu operacyjno-rozpoznawczego pogłębiają

swą wiedzę o przestępczych gangach oraz ich zamiarach. Coraz częściej otrzymują wyprzedzające informacje, pozwalające działać z zaskoczenia.

Policjanci Komendy Stołecznej Policji zdobyli także informacje, że w drodze do Warszawy znajduje się wielki transport broni, przeznaczony dla gangów.

Za kontrowersyjne i dyskusyjne uznali dziennikarze stwierdzenie komendanta stołecznego, że policjanci stołeczni będą przede wszystkim chronili ludzi uczciwych, a nie przedstawicieli gangów. Wyrażone stanowisko miało silny związek z konkretnym przykładem działalności porachunkowej wołomińskich i pruszkowskich przestępców. Zarzucano policjantom opieszałość.

— Potwierdzam — powiedział insp. Jerzy Stańczyk — że skromne siły, którymi dysponuję, będą służyły w pierwszym rzędzie interesom bezpieczeństwa porządnych obywateli. Oni są zdani tylko na naszą pomoc. Natomiast osławieni i kreowani często przez prasę na niemalże bohaterów „Perszingi” i „Dziady” — oraz inni szefowie gangów, dysponują własną ochroną. Strzeże ich po dziesięciu, a niekiedy i dwudziestu goryli. Nie ma więc co ubolewać nad ich niedolą. Wcale to nie oznacza, iż nie interesują nas w ogóle sprawy porachunkowe. Wkraczamy wszędzie, gdzie zostało złamane prawo. Ale nie zapominamy o preferencjach.

Komendant Stańczyk zaakcentował nowy, niezwykle dotkliwy społecznie rodzaj przestępczości na terenie Warszawy, zwłaszcza na obrzeżach miasta. Grupy przestępców, dysponujące półciężarówkami, zatrzymują dzieci i odbierają im górskie rowery. Zlikwidowano już kilka takich grup. Ich członkowie pochodzą z ościennych województw.

Zdaniem komendanta Stańczyka, nie ma jeszcze w województwie stołecznym mafii. Są gangi niezwykle dobrze zorganizowane i bardzo bogate. Członkowie grup, zwłaszcza pruszkowskiej i wołomińskiej, wybierają sobie, w razie potrzeby, największe sławy adwokackie.

Bogactwo dzisiejszych podstołecznych gangów, rodziło się, zdaniem insp. Jerzego Stańczyka, od lat czterdziestych. Służyły temu procederowi wszelkie administracyjne ograniczenia i pociągnięcia, tłamszące działanie praw ekonomicznych. Angażowały się w tę robotę narastające populacje gangsterów. Trwała walka o przywództwo, trwa zresztą do dziś.

Komendant stołeczny zapowiedział, że po okrzepnięciu zawodowym nowych sił policyjnych dobierze się gangom do skóry.

EDWARD NOWAK
zdj. Krzysztof Mokrzyszewski

STÓJ, POLICJA!

NA TROPIE „AMFY”

Jak się okazuje nie tylko z zatrzymaniem „łomiarza” miewa kłopoty stołeczna policja. Ścigani przez stróżów prawa przestępcy albo mają diabelne szczęście, albo zręcznie omijają zastawione pułapki, albo pomagają im — nie chcący zresztą — kumpel po fachu. Takie właśnie zdarzenie miało miejsce 28 czerwca br. w pobliżu kina „Ochota” w Warszawie.

Owego dnia groźny przestępca, poszukiwany od ponad roku przez policję jako uczestnik wielu napadów z bronią w rękę, w tym m.in. na kantor wymiany walut przy ul. Gorlickiej — nazwijmy go „pan Władek” — miał zrealizować transakcję zakupu 1 kg amfetaminy. Dodajmy, że obecnie wartość rynkowa tego narkotycznego specyfiku wynosi 1 mln zł za 1 gram, więc dystrybutorzy nie musieli grać w „Lotto”, mieli miliardy w kieszeni. Do stawcami amfetaminy byli 23-letni Mirosław K. i 18-letni Marek B. Umówionego dnia panowie odebrali „towar” od pośrednika i podjechali przed kino „Ochota”, oczekując niecierpliwie na nabywcę. Pan Władek zjawił się w odpowiednim czasie z gotówką i lada chwila miał dobić targu, gdy nagle... zawył syreny policyjnych radiowozów... Podążały w kierunku SGGW na Rakowieckiej, gdzie inni przestępcy akurat napadli na kasjerkę i ranili ochroniarza... Podekscytowany i wybuchł (w języku doliniarzy — „elektryczny”) pan Władek natychmiast opuścił zagrożony rejon i przez czysty przypadek nie został przyłapany na gorącym uczynku, tj. przy zakupie narkotyków. Nie trzeba dodawać, że zarówno dostawcy „towaru”, jak i jego odbiorca byli od dłuższego czasu pod obserwacją policjantów z KRP Warszawa-Ochota. Mirosław K. i Marek B. zostali zatrzymani wraz z dowodem rzeczowym — posiadanym „towarem”.

Trwa rozpracowywanie pozostałych ogniw pośrednictwa w handlu amfetaminą. Warto podkreślić, że odzyskana amfetamina zawiera aż 90 proc. czystego narkotyku — potwierdziły to badania próbek w laboratorium kryminalistycznym KSP.

Przy okazji dodajmy, że policjanci z Ochoty zlikwidowali miniplantację konopii indyjskich, założoną przez pewnego narkomana, podającego się za studenta z Łodzi. Plantacja liczyła 25 roślin zasadzonych w plastikowych pojemnikach i znajdowała się w altanie niedaleko stacji CPN przy ul. Wawelskiej.

W. G.

ARSENALIK

Nieźnym sukcesem może się pochwalić warszawska policja. Funkcjonariusze z wydziałów: pg i prewencji zajęli nielegalny skład broni. Zarekwirowali: 40 strzelających długopisów, 8 karabinków produkcji amerykańskiej kal. 5,6 mm, pistolety FN kal. 9 mm i 6,35 mm, włoską kuszę (o sile rażenia dorównującą karabinkowi), 10 tys. sztuk różnej amunicji, 4 magazynki do pistoletów TT oraz 2 tłumiki. Nie ustalono jeszcze, czy tłumiki miały być dostosowane do broni z arsenału, czy też pochodzą od jakiegoś innego uzbrojenia.

Był to największy w ciągu ostatnich kilku lat nielegalny skład broni zajęty przez warszawską policję. Mieścił się w specjalnie przygotowanych skrytkach na terenie sklepu z bronią w jednej z podwarszawskich miejscowości. Jego 37-letni właściciel, warszawianin, nie był dotychczas notowany przez policję, choć — jak ustalono operacyjnie — utrzymywał liczne kontakty z przestępcami.

PRZEK
zdj. autor



STÓJ POLICJA!



**WYBÓR
ZDARZEŃ
KRYMINALNYCH**
pod redakcją
**MARCELA
TABORA**

GRUPA... TERRORYSTYCZNA

W tej sprawie brak jeszcze policyjnego sukcesu. Jednakże piszemy o niej ze względu na wyrafinowane metody stosowane przez bandytów.

6 czerwca o godz. 0.10 w Radomiu dwóch nieznanym mężczyznom, z których jeden ubrany był w mundur policyjny, dostało się na teren Radomskiej Centrali Materiałów Budowlanych i Chemicznych, gdzie mieści się hurtownia papierosów, należąca do lokalnej wytwórni produktów tytoniowych. Bandyci weszli na strzeżony teren podstępnie, pod pretekstem kontroli zabezpieczeń magazynów. Uwiarygodnił tę wersję człowiek w policyjnym mundurze. W pewnej chwili ukazał swoje prawdziwe oblicze. Pobili portierów: Zofię B., Mariana T. i Andrzeja K. Skuli im ręce kajdankami oraz zakneblowali usta. Unieszkodliwionych dozorców zamknęli w magazynie paliw płynnych, a następnie obłali benzyną. Grożąc podpaleniem swych ofiar, bandyci wynieśli do samochodu kartony papierosów o łącznej wartości ponad 2 mld zł. Wypełnioną po brzegi ciężarówką odjechali w nieznanym kierunku.

Energiczne działania wykrywcze prowadzą wspólnie KWP i KRP w Radomiu.

Jak poinformował naczelnik Wydziału Dochodzeniowego KRP, od pewnego czasu w woj. radomskim grasuje banda działająca w przebraniu funkcjonariuszy policji. Podczas napadów bandyci mają na sobie czarne kombinezony, jakich używają policyjni „komandosi”, czarne kominiarki, długie, jednakowe buty oraz pasy z przytroczonymi bagnietami. Grupa ta dokonuje napadów na przedsiębiorstwa, instytucje i osoby prywatne, najczęściej bardzo zamożne. Po wzięciu tej grupy ofiary są w stanie ciężkim odożone do szpitala.

NeD.

POŚCIG ZA GANGSTEREM

21 lipca w Poznaniu do budynku PZU przy placu Ratajskiego weszło w godzinach porannych dwóch mężczyzn. Wydobyli broń palną i po sterroryzowaniu kasjerki zabrali kasę z pieniędzmi, po czym wybiegli na ulicę. Kasjerka weszła alarm. Za bandytami ruszyli w pościg przechodnie oraz policjant ze stojącego przed pobliskim więzieniem radiowozu. Drugi funkcjonariusz wezwał posiłki.

W pewnej chwili uciekający rozbiegli się w przeciwną stronę. Ścigając jednego z nich policjant wezwał go do zatrzymania się, a następnie oddał strzał ostrzegawczy. W końcu strzelił bezpośrednio do gangstera trafiając go w udo. Ranny, ostrzeliwując się, biegł jednak dalej. Do samotnego policjanta dołączyli tymczasem inni funkcjonariusze. Bandyta wbiegł do starego budynku i utknął w pułapce podwórza—studni. Nie zamierzał jednak poddać się, lecz strzelał do policjantów. Ci odpowiedzieli ogniem. Trafiony w pierś bandyta upadł, tracąc przytomność. Był z wyglądu w wieku do 30 lat, zabezpieczono przy nim pistolet typu Walther kaliber 6,54 mm.

Cieężko rannego bandytę zabrano do szpitala, gdzie poddano go operacji. Lekarz stwierdził, że jego życiu nie zagraża już niebezpieczeństwo. W wyniku strzelaniny nie ucierpiała żadna osoba postronna.

P. Kit.

SĄ JESZCZE ODWAŻNI

Z radia i gazet czerpał informacje o napadach na pocztowych doręczycieli. Analizował relacjonowane przypadki, liczył ilu napastnikom skok się powiodł. Snuł wnioski dotyczące własnych szans.

Wiedział już o kilku rzeczach. Przede wszystkim, iż najwięcej pieniędzy kryje się w pocztowych torbach, dzwiganym do domów pomiędzy pierwszym a drugim nastym każdego miesiąca. Wtedy bowiem doręczyciele roznoszą emerytury oraz renty, a także przekazy z alimentami. Skonstatował również, że torby są najbardziej zasobne na początku przebywanej drogi, tuż po wyjściu listonoszy z urzędów pocztowych. Później w miarę wypłat zasoby gotówkowe topnieją, a więc ryzyko staje się coraz mniej opłacalne.

Z takiego rozumowania powstał plan, który uwzględnił wszystkie wspomniane wyżej elementy. Sporządził go w swej głowie 28-letni Stanisław S., zamieszkały w Warszawie na Saskiej Kępie.

W swym planie uwzględnił też pewien szczegół. Postanowił, że jego ofiarą będzie kobieta, z którą pójdzie mu łatwiej niż z mężczyzną.

Zaczął się w podwórze posesji przy al. Niepodległości. Była godz. 10.30 i pusto dookoła. Doręczycielka, 45-letnia kobieta, zamierzała opuścić posesję. Napastnik wyłonił się z nienacka, trzepnął doręczycielkę otwartą dłonią w twarz, a następnie zaprosił jej oczy gazem łzawiącym. Oszołomionej kobiecie próbował wyrwać z rąk służbową torbę z zawartością 110 mł złotych.

Doręczycielka nie skapitulowała, szarpiąc się z napastnikiem zaczęła wzywać pomocy. Na jej szczęście wezwanie usłyszeli mężczyźni z ginącego już gatunku odważnych. Ruszyli w pogoń za uciekającym przestępcą. Zdołali go dopaść, obozować i doprowadzić do XXXII Komisariatu Policji, gdzie prowadzone jest śledztwo.

E. N.

UJĘCI W NAMIOCIE

4 lipca o świcie, w Pabianicach, dwaj podchmieleni, wracający z nocnej imprezy młodzieńcy, 15-letni Marek O. i o pięć lat starszy Robert K. postanowili obrabować właścicielkę wolno stojącej posesji Zofię W., lat 87. Do wnętrza dostali się przez otwarte drzwi wejściowe. Kobieta była sama w mieszkaniu, w pobliskiej oborze znajdował się jej syn. Zatykając usta ofierze oraz bijąc ją i kopiąc po twarzy i głowie wymusili wskazanie miejsca, w którym znajdowała się kwota 2,5 mln zł. Po około 3 minutach, nie zauważeni przez nikogo, opuścili teren posesji. Po chwili do mieszkania powrócił syn Zofii W. Natychmiast zawiadomił policję i pogotowie. Poszkodowaną przewieziono do szpitala.

W wyniku podjętych czynności operacyjnych po kilku godzinach sprawców ujęto. Popijali właśnie wino w namiocie przed domem należącym do rodziców jednego z nich. Przyznali się do zarzucanych im czynów. Odzyskano część zrabowanych pieniędzy. Marek O. osadzony został w policyjnej izbie dziecka, natomiast w przypadku Roberta K. prokurator postanowił o jego tymczasowym aresztowaniu.

P. Kit.

Nieporozumienie z komisjami poborowymi

W trakcie odbytej 14 lipca br. konferencji prasowej wiceminister obrony narodowej dr Danuta Waniek doszło do nieprecyzyjnej wypowiedzi, która w wyniku błędnej interpretacji w materiałach prasowych spowodowała sporo zamieszania. Pojawilo się bowiem w publikacjach stwierdzenie, że odpowiedzialność za kwalifikowanie poborowych do służby wojskowej spoczywa na resorcie spraw wewnętrznych.

Tymczasem minister SW odpowiada jedynie za czynności organizacyjne i prawidłowy tryb czynności administracyjnych, sprawując zwierzchni nadzór nad przeprowadzeniem poboru. Nadzór bieżący nad tą operacją sprawują wojewodowie.

Jak stwierdza rzecznik prasowy ministra spraw wewnętrznych Piotr Szczypiński, merytoryczne decyzje o nałożeniu obowiązku służby wojskowej podejmują działające niezależnie cywilne komisje lekarskie i komisje poborowe. W ich składzie nie ma żadnych przedstawicieli resortu spraw wewnętrznych. Natomiast we wszystkich pracach przygotowawczych do poboru oraz pracach wszystkich komisji poborowych uczestniczą przedstawiciele Wojskowych Komend Uzupełnień. Mają oni prawo zgłaszania odwołań i sprzeciwów od orzeczeń i decyzji komisji poborowych.

„Czynienie ministrowi spraw wewnętrznych zarzutów związanych z ostatnimi przypadkami dezercji w wojsku czy też ze stanem zdrowia poborowych wcielonych do armii jest bezpodstawne” — stwierdza w konkluzji Piotr Szczypiński.

(M)

**Wkrótce w sprzedaży
15 numer
„Gazety Policyjnej”**

**GAZETA
policyjna**

Polecamy w niej: ● Waloryzacja policyjnych emerytur i rent ● Bitwa o nasze pieniądze ● Policja a prawa człowieka — Zatrzymywanie i przeszukiwanie osób i pojazdów ● W Legionowie — Start ku przyszłości ● Amerykański system policyjny ● Pomagamy gwardzistom ●



zdj. Beata Tallier

Kradzieże samochodów w naszym kraju stały się w ostatnich latach jedną z najbardziej dokuczliwych plag społecznych. O ile w początkach lat osiemdziesiątych liczba kradzionych w Polsce samochodów była stosunkowo niewielka, to koniec dekady „zaowocował” prawdziwą eksplozją tej kategorii przestępstw. W ciągu ostatnich pięciu lat liczba tych czynów wzrosła 16-krotnie. W roku 1988 skradziono w naszym kraju 4173 pojazdy, w 1991 — już 43 417, a w 1993 — 62 338.

POLICJA DROGOWA POSTULUJE

Z „KSIĄŻKĄ POJAZDU” W DROGĘ

Kradzione samochody, jak wynika z danych Biura Operacyjno-Rozpoznawczego KGP, sprzedawane są głównie na rynku krajowym. Przedtem jednak, zajmujący się tym procederem przestępcy poddają je pewnym „zabiegom legalizacyjnym”. Najbardziej rozpowszechniona jest kradzież tablic rejestracyjnych z jednego samochodu, zamontowanie ich na aucie skradzionym oraz wpisanie w czysty blankiet dowodu rejestracyjnego danych skradzionego pojazdu (numer silnika, nadwozia, rok produkcji itp.).

Bardziej wyspecjalizowane gangi, dysponujące warsztatami mechanicznymi, przebijają numery silnika i nadwozia bądź też wycinają oznakowane elementy ze złomowanych samochodów, wspawując je do samochodów kradzionych. W razie potrzeby dysponują również fałszywymi dowodami nabycia tych pojazdów. Dla „fachowców” z tej branży nie ma rzeczy niemożliwych.

Również i obrót kradzionymi samochodami nie nastęrcza większych trudności. Przestępcy z reguły posługują się oryginalnymi blankietami dowodów rejestracyjnych, których tysiące ginie rocznie z urzędów administracji samorządowej, przede wszystkim z urzędów gminnych.

Jak wynika z policyjnych statystyk w latach 1988—1992 z urzędów tych skradziono ponad 42 tys. blankietów dowodów rejestracyjnych i ponad 50 tys. praw jazdy. W samym tylko 1992 r. dokonano 223 włamań do siedzib gmin, kradkną stamtąd m.in. 8755 czystych dowodów rejestracyjnych, 10 507 praw jazdy i 3167 dowodów osobistych. Nasuwa się w związku z tym pytanie: dlaczego tak się dzieje? Czym wytłumaczyć tę łatwość w zdobywaniu oryginalnych

blankietów druków tzw. ścisłego zachowania?

Odpowiedź jest prozaiczna — zabezpieczenie urzędów administracji samorządowej pozostawia, niestety, wiele do życzenia. Sprawy włamań z reguły bez większego trudu dostają się do środka, wyłamując nie zabezpieczone właściwie okna, drzwi lub forsując strop piwniczny, ewentualnie dach.

— Znacznym problemem — mówi podinsp. Leszek Kornalewski z Biura Ruchu Drogowego KGP — jest również nasilające się zjawisko podrabiania lub wręcz nielegalnej produkcji blankietów dowodów rejestracyjnych i praw jazdy. Niestety, obecnie wydawane przez urzędy dokumenty są niskiej jakości, bez wystarczającego systemu zabezpieczeń. Istnieje więc możliwość ich łatwego podrobienia na powszechnie używanych urządzeniach poligraficznych.

Wraz ze wzrostem liczby skradzionych pojazdów zwiększyła się również, i to pięciokrotnie — jak wynika z danych Biura Operacyjno-Rozpoznawczego KGP — liczba skradzionych tablic rejestracyjnych. W latach 1990—1992 skradziono ich

8641 (w samym tylko roku 1992 — 4975).

Na dobrą sprawę nie trzeba ich nawet kradść, z łatwością bowiem można je zamówić u wielu różnych producentów. Tylko kilkudziesięciu z nich posiada atest Instytutu Transportu Samochodowego, reszta — a jest ich znacznie więcej — wykonuje tablice niezgodnie z obowiązującymi przepisami.

W niektórych krajach, i to bardziej zmotoryzowanych niż nasz (np. Szwecji czy Danii), jest tylko jeden producent tablic rejestracyjnych dla wszystkich mieszkańców. Nikt jakoś z tego tytułu tam nie pomstuje.

★ ★ ★

Policja, a szczególnie policja drogowa, która zjawisko kradzieży samochodów, obrotu nimi oraz fałszowania dokumentów pojazdu zna z autopsji, gdyż spotyka się z nim na co dzień, będąc świadoma zagrożenia tą kategorią przestępstw dla Skarbu Państwa, firm ubezpieczeniowych, a także i samych obywateli, podjęła działania zmierzające do zahamowania, względnie znacznego ograniczenia rozmiarów tego zjawiska. Po konsultacjach z resortami spra-

wiedliwości, transportu i gospodarki morskiej, firmami ubezpieczeniowymi, także jednostkami organizacyjnymi MSW, Biuro Ruchu Drogowego KGP przedstawiło koncepcję rozwiązania tego problemu. Została ona zaakceptowana przez kierownictwo Komendy Głównej Policji i przedłożona ministrowi spraw wewnętrznych.

Na czym polegają główne założenia tej koncepcji? Zdaniem policji, działaniem najpilniejszym jest konieczność opracowania i wprowadzenia w życie nowych wzorów dokumentów: dowodu rejestracyjnego pojazdu, „książki pojazdu” i prawa jazdy. Przy czym dokumenty te powinny charakteryzować się możliwie najwyższym stopniem zabezpieczenia, uniemożliwiającym lub maksymalnie utrudniającym ich fałszowanie.

Spełniając postulaty policji, nowe wzory tych dokumentów opracowała Państwowa Wytwórnia Papierów Wartościowych. Zastosowanie w nich tzw. linii giloszowych, wieloelementowego znaku wodnego i utajnionego znaku wodnego, widzialnego tylko w świetle ultrafioletowym, gwarantuje — zdaniem wytwórców — łatwą i bezpośrednią identyfikację jednorodności pochodzenia dowodu rejestracyjnego i „książki pojazdu”.

Ten ostatni dokument będzie całkowicie nowym dla polskiego kierowcy. „Książka pojazdu”, z powodzeniem stosowana w zachodniej Europie, jest niejako dowodem tożsamości pojazdu, zawiera bowiem najważniejsze dane o nim, jego posiadacz, ewentualnie kolejnych właścicieli oraz organie dopuszczającym pojazd do ruchu. Można ją określić jako „papier wartościowy”, który powinien być przechowywany w domu, a nie wożony w samochodzie.

Wprowadzenie „książki pojazdu” jest istotne nie tylko dla policji, ale również i firm ubezpieczeniowych. Pozwala ona bowiem poznać historię pojazdu. W kontaktach między ubezpieczycielami ułatwia wychwycenie pojazdów kradzionych, sprawdzenie, czy pojazd nie był w przeszłości rozbity, jak również czy nie zachodziła próba oszustwa ubezpieczeniowego (pobranie podwójnego odszkodowania).

Pomimo usilnych starań Komendy Głównej Policji, znówelizowane rozporządzenie Ministra Transportu i Gospodarki Morskiej z 14 kwietnia 1993 r. w sprawie rejestracji, ewidencji i oznaczania pojazdów nie uwzględniło, niestety, postulatów stawianych przez policję. Wprowadzie od 1 maja 1993 r., decyzją ministra transportu wprowadzono do wzoru blankietów prawa jazdy i dowodu rejestracyjnego pojazdu pewne zabezpieczenia, jednak — zdaniem specjalistów z Biura Ruchu Drogowego KGP — nie spełniają one wymogów, jakim powinny odpowiadać zabezpieczenia dokumentów tej rangi.

— Nowe wzory dokumentów — mówi kom. Mirosław Maksymiuk z Biura Ruchu Drogowego KGP — nie dają w praktyce możliwości organoleptycznego zweryfikowania ich autentyczności przez policjantów oraz nabywców pojazdów używanych. Zewnętrznie nie różnią się one od wydawanych do 30 kwietnia 1993 r., jedynie numer blankietu jest barwy czerwonej. Ich zabezpieczenia są stosunkowo łatwe do podro-

bienia, zarówno te wykonane farbą wykazującą luminescencję w promieniach ultrafioletowych, jak również napisy wykonane na drukarkach atramentowych.

Proponowane przez policję rozwiązania zmierzają przede wszystkim do lepszego zabezpieczenia dokumentów pojazdu. Opracowany wzór składa się z trzech części: do wodu rejestracyjnego pojazdu, który kierowca obowiązany byłby nosić przy sobie, książki pojazdu — przechowywanej w domu oraz specjalnego kuponu, który byłby depozytowany w wydziale komunikacji. Przy sprzedaży samochodu nowy właściciel otrzymywałby komplet tych dokumentów. Wydaje się mało prawdopodobne, by w ręce złodziei wpadły od razu wszystkie te trzy części. A podrobić je — przy postulowanych przez policję zabezpieczeniach — byłoby bardzo trudno.

Konieczne i pilne — zdaniem specjalistów z Biura Ruchu Drogowego KGP — wydaje się również stworzenie ogólnokrajowego systemu informatycznego ewidencji pojazdów zarejestrowanych i wydanych praw jazdy. System ten powinien być zintegrowany z innymi ogólnymi systemami informatycznymi państwa. Jest to łatwe do osiągnięcia przy wykorzystaniu istniejącej bazy Rządowego Centrum Informatycznego „Pesel”, które dysponuje odpowiednim sprzętem, rozbudowaną siecią łączności oraz prawidłowym systemem zabezpieczenia tajności danych.

— Naszym zdaniem — mówi podinsp. Leszek Kornalewski — istnieje pilna potrzeba skutecznego zabezpieczenia urzędów rejestrujących pojazdy i kierujących przed włamaniami i kradzieżą dokumentów. Jesteśmy również za ograniczeniem liczby wydziałów komunikacji, upoważnionych do wystawiania dowodów rejestracyjnych pojazdów i praw jazdy. Uważamy, że w żadnym wypadku nie powinny tego robić urzędy gminne. Tam bowiem najczęściej zdarzają się włamania i kradzieże tych dokumentów.

— Równie ważną kwestią — dodaje kom. Mirosław Maksymiuk — jest wprowadzenie nowych wzorów tablic rejestracyjnych pojazdów. Ich produkcja i dystrybucja powinna znajdować się pod ścisłą kontrolą organu rejestrującego i innych upoważnionych organów kontrolnych. Każda tablica winna mieć charakter dokumentu, to znaczy posiadać elementy utrudniające w znaczny sposób jej sfalszowanie. Tak jak druki ścisłego zarachowania.

Proponowane przez policję przedsięwzięcia nie są — jak łatwo zauważyć — czymś „wziętym z księżyca”. Tego rodzaju formy zabezpieczenia przed kradzieżami samochodów, obrotom nimi, jak również przed fałszowaniem dokumentów pojazdów znane są i stosowane z powodzeniem w krajach zachodnich, znacznie bardziej zmotoryzowanych niż Polska. Dlaczego więc tak trudno wprowadzić je u nas? Specjaliści z Biura Ruchu Drogowego KGP wykazali, iż koszt tych zmian wcale nie byłby taki duży. Tym bardziej że swoją pomoc oferują firmy ubezpieczeniowe, a za wydawane dowody rejestracyjne i prawa jazdy każdy kierowca z chęcią wyłoży po te kilkadziesiąt tysięcy złotych, mając świadomość, iż o jego „cztery kółka” troszczyć się nie tylko on sam, ale i państwo.

JERZY PACIORKOWSKI

Na parkingu Komendy Wojewódzkiej Policji w Chelmie stoi audi, które w dwa dni po zjechaniu z fabrycznej taśmy zostało zatrzymane przez funkcjonariuszy Nadbużańskiego Oddziału SG na przejściu granicznym w Dorohusku. Nie jest ewenementem wśród kradzionych wozów — kilkadziesiąt innych, stojących po sąsiedzku jest niewiele starszych i nie mniej luksusowych. Przeważają mercedesy, BMW, nowsze modele fordów i volkswagenów, cieszące się największą popularnością u rosyjskich i ukraińskich mafiosów. Dość często też Straż Graniczna zatrzymuje kradzione lada, tyle że te prowadzone są nie przez współpracujących ze złodziejskimi szajkami kurierów, a przez obywateli WNP, którzy nie znając dobrze wymaganych dokumentów często nieświadomie kupują trefne wozy.

Techniki przemytu są różne, zależnie od wartości wozu. W tych najdroższych wycina się fragmenty części, na których wybite są numery, wstawiając na ich miejsce nowe z numerami fałszywymi, pasującymi do spreparowanych dokumentów rejestracyjnych. W takich przypadkach funkcjonariusze SG i celnicy niewiele mogą zrobić, choćby nawet podejrzewali, że samochód pochodzi z kradzieży.

— Problemem jest brak ogólnopolskiego rejestru skradzionych wozów, który dostępny byłby w każdej komendzie wojewódzkiej Policji — mówi. — Trzeba dodzwaniać się do wydziałów komunikacji w kraju, ale możliwe to jest jedynie do godz. 15.00, a do tego łączność jest tak fatalna, że najczęściej i to się nie udaje.

Zdecydowanie łatwiej jest wykryć przebite numery lub sfalszowaną dokumentację.

— Naszym podstawowym narzędziem pracy jest zmywacz do paznokci — wyjaśnia jeden z oficerów Nadbużańskiego Oddziału SG. — Aceton zmywa każdą farbę, która nie została nałożona techniką piecową, stosowaną tylko przez producentów. Przydatne jest również lustro, którym można po prostu zajrzeć pod spód interesujących nas części, gdzie zwykle złodziejskie maskowanie jest już o wiele mniej staranne. Nic jednak nie zastąpi doświadczenia, ja na przykład wyczuwam podrobione dokumenty rejestracyjne palcami, po strukturze papieru.

Istotnym problemem dla funkcjonariuszy SG i celników jest brak wzorów aktualnych dokumentów tożsamości używanych na świecie. By sprawdzić osoby podejrzane, często muszą oni chwycić się niekonwencjonalnych sposobów. O dziwo, te zwykle skutkują. Rzekomy obywatel Holandii, rodem z Surinamu (dawniej Gujana Holenderska), szukał Amsterdamu w okolicach Tybetu. Nic dziwnego — w rzeczywistości był Pakistańczykiem. Niekiedy prowadzący skradzione samochody kurierzy podkładają się sami. Tak było w przypadku pewnego Polaka, który mając doskonale podrobione

WÓZ DLA TOWARISZCZA MAFIOŚO

wszelkie dokumenty: paszport, prawo jazdy, dowód rejestracyjny, umowę kupna-sprzedaży, próbował — jako belgijski biznesmen — przejechać na Ukrainę skradzionym mercedesem. Wpadł, gdyż funkcjonariusz SG znalazł w pozostawionym w samochodzie notatniku... wezwanie do prokuratury. „Belg” przyznał się, iż jest kurierem, a wezwanie wystawione zostało na jego nazwisko. Innego „biznesmena” zdradziło nerwowe obciążanie rękawów płaszczem. Stała się w ten sposób zamaskować wyświechtane i postrzępione mankiety koszuli. Ten defekt garderoby wydał się funkcjonariuszom SG dość podejrzany — w końcu kogoś, kto prowadzi wóz za ok. miliarda złotych, powinno być stać na nowe koszule i czyste rzeczy. Po dokładniejszym sprawdzeniu okazało się, że auto ma przebite numery silnika i nadwozia.

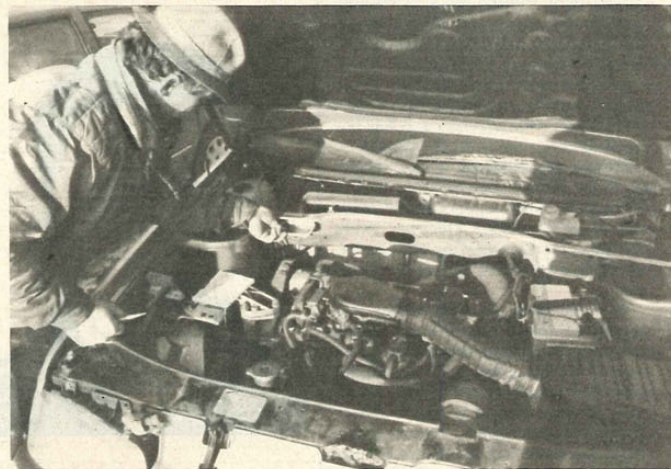
O skali samochodowego szmuglu mogą świadczyć dane z 1993 roku, w którym zatrzymano na granicach 1126 samochodów pochodzących z kradzieży, z tego ponad 600 na granicy wschodniej. W pierwszym kwartale tego roku nie dopuszczono do wyjazdu z Polski 399 skradzionych wozów, a w

kwietniu i maju odpowiednio 130 i 182 aut (w przypadku każdej z tych liczb mniej więcej połowa samochodów została zatrzymana na wschodniej granicy). Z pewnością jest to jedynie część tego, co zdołało przeniknąć przez kontrolę; na pewno też nie jesteśmy jedynym kanałem przerzutowym. Całkiem możliwe więc, że pogłoski mówiące, iż 80 proc. aut zagranicznych marek jeżdżących po Moskwie to trefny towar wcale nie muszą być dalekie od prawdy.

Kradzieże samochodów w Europie i ich przerzut na tereny byłego ZSRR to interes przynoszący wprost niewyobrażalnie wysokie dochody. Nic zatem dziwnego, że towarzyszy mu bezwzględność żadnych jak najszybszego zysku złodziejskich gangów, które nie przebiegają w środkach, by usunąć stojące im na drodze przeszkody. Rozumieją to funkcjonariusze SG i celnicy, którzy nie chcą ujawniać swoich personaliów.

— Mieszkamy tutaj w okolicy, i my, i nasze rodziny — mówią. — Po co mielibyśmy się narażać na dodatkowe kłopoty, wystarczy już tych na przejściu.

PRZEMYSŁAW KACAK
zdj. autor



kontrola numerów

OGŁOSZENIE

Studium Służb Ochrony Osób, Mienia i Usług Detektywistycznych, 00-906 Warszawa 49, skr. poczt. 51, ogłasza nabór na roczne studium... dla absolwentów uniwersyteckich wydziałów prawno-administracyjnych i po Wyższej Szkole Policji oraz 2-letnie studium dla absolwentów pozostałych kierunków studiów. Ponadto prowadzi 2-miesięczne szkolenia Służb Ochrony Osób, Mienia i Usług Detektywistycznych oraz straży przemysłowej, miejskiej, bankowej itp.
Zgłoszenia: od 1 sierpnia br., tel. 36-94-34 i 47-93-53; tel./fax 60-24-300 lub pocztą. Rozpoczęcie zajęć — 1 października br.



997

KRONIKA

Pod redakcją
HANNY ŚWIESZCZAKOWSKIEJ
i ZBIGNIEWA RAZMUKA



ZAGINIONY STUDENT

Komenda Rejonowa Policji w Wadowicach (woj. Bielsko-Biała) poszukuje zaginionego 25 stycznia 1994 r. **Bogusława Hankusa** (zdjęcie poniżej), s. Andrzeja i Haliny, ur. 26 listopada 1974 r. w Andrychowie i zamieszkałego w tym samym mieście, studenta I roku Społecznej Szkoły Menedżerów przy Filii Politechniki Łódzkiej w Bielsku-Białej.

Rysopis zaginionego: wiek z wyglądu 20 lat, wzrost 180 cm, szczupła budowa ciała, włosy ciemnobłond średniej długości, lekko kręcone, twarz pociągła, czoło wysokie, oczy jasne, nos duży, wąski, uszy średnie przylegające.

Dom rodzinny opuścił ubrany następująco: kurtka czarna 3/4, spodnie dżinsowe, bluza granatowa z zielonym pasem, podkoszulek biały z krótkim rękawem, czapka czarna z dzianiny, buty wysokie ponad kostkę zielono-brązowe, zamszowe, sznurowane. Miał przy sobie czarną torbę z uchwytem na ramię, dowód osobisty, książeczkę zdrowia.

Bogusław Hankus ostatni raz był widziany w Bielsku-Białej 25 stycznia br., kiedy to ok. 10.00 opuścił mieszkanie swojego kolegi na Osiedlu Pięciu Stawów.

Ktokolwiek widział zaginionego po tej dacie lub mógłby przyczynić się do ustalenia jego miejsca pobytu, proszony jest o skontaktowanie się z Komendą Wojewódzką Policji w Bielsku-Białej, tel. 240-41 w. 270.

TAJEMNICZY ROMAN

Komenda Wojewódzka Policji w Zielonej Górze pod nadzorem miejscowej Prokuratury Wojewódzkiej prowadzi śledztwo w sprawie rejestrowania kradzionych samochodów na podstawie fałszywych dokumentów.

Jednym z podejrzanych jest mężczyzna o imieniu Roman, przedstawiony na fotografii. W latach 1992—93 poruszał się po kraju samochodem campingowym marki GWC Vandura produkcji amerykańskiej, koloru wiśniowego lub bordowego, o numerze rejestracyjnym OET 7721. Mężczyzna może używać nazwisk: Lewski, Lechski, Laski, Leski lub Szolaj.

Jest towarzyski, przedstawia się zwykle jako dealer fabryki samochodów „Skoda Favorit” lub przedstawiciel firmy „Latowski — Szpak” sprzedającej samochody „Skoda Favorit” wycofane

z Belgii i Holandii w ramach reklamy.

W różnym okresie czasu „Roman” mieszkał w Opolu i na terenie Warszawy.

Rysopis poszukiwanego:

Wzrost ok. 170—175 cm, wiek ok. 35—45 lat, krępa budowa ciała, twarz okrągła pełna, cera gładka, często z kilkudniowym zarostem, włosy gęste, falujące, ciemne, zaczesane do góry. Poszukiwany jest ubrany przeważnie w dres sportowy, często nosi czapkę z daszkiem okutym błyszczącą blazką.

Kto zna dane personalne lub miejsce pobytu mężczyzny przedstawionego na fotografii proszony jest o niezwłoczny, osobisty lub telefoniczny kontakt z Komendą Wojewódzką Policji w Zielonej Górze, ul. Partyzantów 40, tel. 26-16-16 w. 1453 lub 1242 w godzi-



nach 8.00—16.00 albo tel. 25-13-79 czynny całą dobę lub z najbliższą jednostką policji.



PODWÓJNE ZABÓJSTWO

Prowadzenie kantoru wymiany walut jest zajęciem bardzo niebezpiecznym. Kolejnym dowodem tego była tragedia, jaka rozegrała się 15 lutego br. w Sosnowcu (woj. katowickie).

Tego dnia pięć minut przed 19.00 dyżurny KRP został powiadomiony przez dyspozytora pogotowia ratun-

kowego, że na parterze klatki schodowej przy ul. Wincentego Pola 2 leżą zwłoki kobiety, a jej rannego towarzysza przewieziono karetką do Szpitala Górniczego w Sosnowcu. Mężczyzna ten zmarł krótko potem z powodu ran postrzałowych głowy.

Grupa dochodzeniowo-ślędsza, która udała się na miejsce zdarzenia ustaliła, że ofiarami zbrojnego napadu byli małżonkowie Anna i Stanisław Siwecy, właściciele kantoru wymiany walut w Sosnowcu przy ul. 3 Maja. Zastrzelono ich na klatce schodowej domu, w którym mieszkali, gdy wracali z pracy. Obok zwłok kobiety znaleziono sześć łusek kalibru 9 mm „WIN” Lauger. Zginęła na miejscu z powodu ran postrzałowych klatki piersiowej.

chach (portret pamiątkowy publikujemy obok): wzrost 170—180 cm, szczupła budowa ciała, ubrany w ciemną kurtkę 3/4, spodnie ciemne, prawdopodobnie czapkę z daszkiem w kształcie klina, również koloru ciemnego, mógł mieć wąsy.

Mężczyzna ten oddał do swoich ofiar sześć strzałów, a potem wyszedł z klatki schodowej niosąc ciemną teczkę i wolno oddalił się w kierunku ul. Rodakowskiego. Wszystko rozegrało się ok. 18.40 — 18.55.

Jeden ze świadków twierdzi, że opisany mężczyzna wsiadł do samochodu, być może marki Hyundai (albo podobnego). Ustalono, że samochód tej samej marki (nr rej. KCU 7702, koloru szary metalik) posiadali małżonkowie Siwecy i nim właśnie wrócili do domu 15 lutego na chwilę przed swoją śmiercią.

Ktokolwiek mógłby wnieść coś nowego do śledztwa w opisanej sprawie i przyczynić się do wykrycia zabójcy małżeństwa Siwecich, proszony jest o kontakt z Komendą Wojewódzką Policji w Katowicach, tel. 512 000 lub 15-77-444 albo z najbliższą jednostką policji.

KIM JEST MĘŻCZYŻNA Z BRODĄ?

(sprawa sprzed lat)

Od ośmiu lat pozostaje bezkar-ny sprawca zabójstwa 25-letniej kobiety, która 19 lipca 1986 r. wracała autobusem z Siedlec do wsi Modrzew (gmina Zbuczyn).

Bogumiła Wróbel (na zdjęciu) pracowała jako kasjerka w sklepie nr 5 w Siedlcach. 9 lipca 1986 r. skończyła pracę o godz. 19.00 i poszła odwiedzić swoją koleżankę. Była u niej niecałą godzinę, bo o 20.00 odjeżdżał z dworca PKS autobus, którym miała wracać do domu. Autobusem tym jechał jej mąż Krzysztof, który nawet zarezerwował dla żony miejsce. Nie doczekał się jednak na nią i pojechał do Modrzewia, gdzie oboje mieszkali u rodziców Bogumili.

Nie wróciła na noc do domu i następnego dnia Krzysztof Wróbel rozpoczął poszukiwania żony u rodziny i znajomych. Nie dało to rezultatu i 12 lipca zawiadomił milicję o zaginięciu Bogumili. Czynności poszukiwawcze przerwano, gdy 29 lipca do Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Siedlcach wpłynęło zawiadomienie o znalezieniu zwłok młodej kobiety w studni znajdującej się na skraju wsi Modrzew. Była to Bogumiła Wróbel.

Sekcja wykazała, że przyczyną zgonu było gwałtowne uduszenie. Wcześniej sprawca morderstwa zadawał kobiecie liczne razy w głowę, bił pięścią lub tępym narzędziem. Zabójstwo mogło być popełnione na tle seksualnym, jednak nie stwierdzono, że ofiara została zgwałcona. Miała natomiast częściowo ściągniętą odzież. Nie znaleziono także torby z zakupami, zegarka, srebrnej obrączki i wisiorka, które to przedmioty kobieta miała przy sobie.

W wyniku śledztwa przyjęto następującą, najbardziej prawdopodobną wersję tragicznego zdarzenia: Bogumiła Wróbel wyjechała z Siedlec 9 lipca o godz. 22.30 autobusem w kierunku miejscowości Mordy. Autobus ten przejeżdżał przez wieś Radzików Kolonia oddaloną od Modrzewia o ok. 2 km. Odległość tę kobieta musiała przebyć pieszo. Krótko po wyjściu z autobusu napadł ją nieznajomy mężczyzna, wciągnął w pobliżu łąki żyta (znaleziono tam liczne wgniecenia), a potem zawlókł do studni i tam wrzucił nieżywą.

Jedną z przesłuchiwanym pasażerek autobusu rozpoznała na okazanym zdjęciu Bogumiłę Wróbel jako kobietę, która siedziała obok niej w czasie podróży i z którą rozmawiała. Według relacji tej pasażerki na przystanku w Radzikowie Wielkim wsiadł znany wcześniej obydwu kobietom



mężczyzna, mieszkaniec Modrzewia. Bogumiła Wróbel powiedziała swojej towarzyszyce, że boi się tego człowieka, ponieważ kiedyś przywiązał ją w lesie do drzewa. Wtedy współpasażerka zaproponowała młodej kobiecie, żeby razem pojechały przystanek dalej, skąd do Modrzewia zawiezie ją samochodem mąż przesłuchiwanej. Jednak Bogumiła Wróbel nie zgodziła się i wysiadła na przystanku Radzików Kolonia, a za nią ów wspomniany mężczyzna, a także jeszcze inny o nie ustalonej tożsamości.

Pozostali przesłuchiwani w tej sprawie pasażerowie autobusu oraz jego kierowca nie potwierdzili spostrzeżeń tej kobiety. Nikt nie widział, by autobusem tym podróżowała Bogumiła Wróbel ani że w Radzikowie Wielkim wsiadł do autobusu znany większości pasażerów mężczyzna — mieszkaniec Modrzewia. W toku śledztwa nie zebrano też żadnych innych dowodów przeciw temu podejrzanemu, a i on sam kategorycznie zaprzeczył, jakoby w tamtym okresie jeździł autobusem z Siedlec do Modrzewia.

W tej sytuacji nie przedstawiono mu zarzutu dokonania zabójstwa Bogumili Wróbel, a w grudniu 1986 r. prokurator rejonowy w Siedlcach umorzył śledztwo.

Morderca 25-letniej kobiety cieszy się więc nadal wolnością, ale czy powinien żyć spokojnie? Policja zwraca się jeszcze raz do świadków, którzy mogliby przyczynić się do jego ujęcia o przekazanie nowych informacji w tej sprawie. Może ktoś wie, kim był mężczyzna z brodą, który 9 maja 1986 r. późnym wieczorem wysiadł z autobusu relacji Siedlce — Mordy za Bogumiłą Wróbel? Czy ktoś widział przebieg zdarzenia — napadu i morderstwa oraz wleczenie i wrzucanie ofiary do studni — albo słyszał o nim od innych osób i dowiedział się czegoś na temat zabójcy? Jeśli ktokolwiek po 8 latach chciałby powiedzieć prawdę, proszony jest o skontaktowanie się z Komendą Wojewódzka Policji w Siedlcach, tel. 287 52 lub tel. dyżurny 163 albo z naszą redakcją. Zapewniamy pełną dyskrecję.

PROSTO Z DROGI



WAKACJE NA DROGACH

Wakacje to okres szczególnie trudny dla policji drogowej. Z początkiem lipca każdego roku natężenie ruchu na naszych drogach gwałtownie wzrasta. Szczególnie obciążone są wówczas główne szlaki komunikacyjne, prowadzące do miejsc letniego wypoczynku.

Wraz ze wzrostem natężenia ruchu rośnie także liczba zdarzeń drogowych. Podczas ubiegłorocznych wakacji na polskich drogach wydarzyło się blisko 9,5 tys. wypadków, w których zginęło prawie 1200 osób, a ponad 12 tys. doznało obrażeń. Wśród ofiar śmiertelnych odnotowano m.in. blisko 150 dzieci.

Z analizy ubiegłorocznych wakacyjnych wypadków wynika, że najczęstszymi przyczynami tych zdarzeń były: nadmierna prędkość, nieprawidłowe wyprzedzanie i nieprzestrzeganie pierwszeństwa przejazdu. W co czwartym wypadku uczestniczył nietrzeźwy kierowca, w co piątym — nietrzeźwy pieszy. Czy tegoroczne wakacje będą również tak tragiczne?

JEDZIEMY DO WIELKIEJ BRYTANII

Wjeżdżając na wyspę trzeba pamiętać przede wszystkim o obowiązującym tu ruchu lewostrończym. W pierwszych dniach pobytu w Wielkiej Brytanii kierowcy z kontynentu często się gubią, stwarzając niebezpieczne sytuacje w ruchu drogowym.

Konieczna jest zatem wolniejsza, za to uważniejsza jazda. W terenie zabudowanym wszystkie pojazdy obowiązują prędkością 48 km/h. Na drogach pozamiejskich maksymalna prędkość dla samochodów osobowych, motocykli i autotokarów wynosi 96 km/h, na autostradzie — 112 km/h.

I limitów tych warto przestrzegać, angielska drogówka jest bowiem wyjątkowo czujna, a mandaty bardzo słone. Przekroczenie prędkości, nawet niewielkie, kosztuje 40 funtów (GBP). Tyle samo wymuszenie pierwszeństwa przejazdu. Jeszcze wyższy, bo 50-funtowy mandat otrzymamy za nieużywanie pasów bezpieczeństwa oraz „tyse” opony. W przypadku nieprawidłowego zaparkowania zapłacimy mandat według uznania policjanta — od 20 do 40 funtów.

NIE DAJ SIĘ OSZUKAĆ

NISSAN (modele: **Cherry, Stanza, Sunny**) — numer samochodu ograniczony jest z przodu i z tyłu znakiem fabrycznym. Znajduje się z prawej strony na przegrodzie komory wlotu powietrza, od strony komory silnika. W samochodach Sunny, wyprodukowanych przez firmę Nissan-Datsun, numer samochodu wybito na przegrodzie czołowej.

Numer silnika jest wybitny na specjalnym nadlewie na lewym boku, w przedniej części, pod kolektorem wydechowym. Obok znajduje się podobny nadlew z wybitym typem silnika, np. CD 17 (silnik Diesla o pojemności 1,7 litra).

EUROPEJSKIE FINAŁY

28—30 czerwca w Budapeszcie odbyły się międzynarodowe zawody rowerowe dla uczniów szkół podstawowych pod nazwą „Młodzież o bezpieczeństwie ruchu drogowego”. Wzięły w nich udział reprezentacje z 10 państw, w tym drużyna z Polski, wyłoniona spośród najlepszych finalistów Ogólnopolskiego Turnieju Wiedzy o Bezpieczeństwie Ruchu Drogowego.

Nasi zawodnicy w ostatecznej klasyfikacji zajęli drużynowo 3 miejsce, natomiast w klasyfikacji indywidualnej uczennica Szkoły Podstawowej w Zdzieszowicach (woj. opolskie) — Magdalena Gurba była 7 (na 80 zawodników biorących udział w zawodach).

Organizatorem tej wielce pożytecznej imprezy, której celem jest propagowanie wśród dzieci i młodzieży zasad bezpiecznego uczestnictwa w ruchu drogowym, była Ogólnowęgierska Rada Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego. Udział drużyny polskiej w zawodach został zorganizowany przez Ministerstwo Edukacji Narodowej i Biuro Ruchu Drogowego KGP.

RAZ NA WOZIE...

Pierwszą śmiertelną ofiarą tegorocznych sianokosów odnotowały policyjne statystyki. Padł nią 81-letni Czesław G., mieszkaniec Chynowa (woj. szczeciński). Do tragedii doszło na łuku brukowanej drogi w pobliżu wsi Chynowo, podczas zwózki z pola sprasowanego w bele siana. W trakcie pokonywania zakrętu źle ułożony ładunek osunął się na jezdnię. Razem z belami siana spadł z wozu Czesław G. oraz pomagający mu w sianokosach sąsiad. Czesław G. uderzył głową o bruk, ponosząc śmierć na miejscu. Jego sąsiad miał szczęście, spadł na siano.

JERZY PACIORKOWSKI

Włochy

ZABIŁA OJCA

Coraz częściej mówi się we Włoszech, o utajanych do tej pory, problemie, jakim jest seksualne wykorzystywanie nieletnich. Zjawisko jest tym bardziej niepokojące, że, jak się okazuje, znaczny procent tego typu przestępstw ma miejsce w rodzinach, gdzie relacje kazirodzkie (głównie ojciec — córka) są z wielu względów najtrudniejsze do wykrycia i, co za tym idzie, do udowodnienia. Ostre dyskusje na ten temat wybuchają po każdym kolejnym skandalu, a opinia publiczna domaga się coraz wyższych kar dla dorosłych sprawców. Odsetek wymierzonych kar w stosunku do liczby przestępstw jest oczywiście niewielki, a sprawa wychodzi na jaw z reguły dzięki przypadkowi. Czasami do ujawnienia przyczynia się morderstwo.

Taka też była sytuacja kilkunastoletniej Marii Christiny P., od czterech lat systematycznie gwałconej przez ojca, od dawna żyjącej w ciągłym stresie i lęku. Zdesperowana dziewczyna wymusiła na swoim przyjacielu dostarczenie jej broni i zastrzeliła ojca. Sąd skazał ich oboje na 9 lat i 4 miesiące pozbawienia wolności.

Od niepamiętnych czasów włoskie mass media nie poświęcały tyle uwagi żadnej kwestii społecznej, co sprawie tego właśnie zabójstwa i jego sprawcom, których opinia publiczna zgodnie określiła mianem ofiar. Kościoł i organizacje feministyczne, po raz pierwszy całkowicie zgodne, wspólnie organizują zbiórkę podpisów pod prośbą o ulaskawienie. Nauczyciele i uczniowie manifestują, w prasie dominują wypowiedzi psychologów i psychiatrów — zdecydowanie przychylne sprawcom zabójstwa. W Ministerstwie Sprawiedliwości powołano specjalną komisję mającą jeszcze raz rozpatrzyć ten przypadek i powziąć zdecydowane kroki w celu definitywnego rozprawienia się z tym szerzącym się wciąż zjawiskiem.

MONIKA SOKALSKA



Rosja

POWSTRZYMAĆ KOZAKÓW CZY RATOWAĆ DZIECKO?

Rostów nad Donem, powszechnie znany jako przytułisko chuliganów i świata przestępczego, zyskał ostatnio rozgłos jako centrum terroryzmu, którego ofiarą padają dzieci.

Wszyscy sprawcy zostali wkrótce zatrzymani. Grupa liczyła 4 mężczyzn —



Jeszcze nie ucichły echa głośnego porwania grupy uczniów i pościgu za śmigłowcem, którym terroryści uciekali po Północnym Kaukazie, gdy oto w Rostowie rozegrał się nowy tragiczny spektakl.

Tym razem bandyci porwali 12-letniego Lonię Tiracujana. Gdy chłopiec szedł do szkoły, podjechał samochód bez tablic rejestracyjnych, który wywiózł go w nieznanym kierunku. Porywacze zażądali okupu w wysokości 60 tys. dolarów, uprzedzając zawczasu, że zabiją chłopca, jeżeli zauważą, że są śledzeni.

Przekazano porywaczom żądaną kwotę (pieniądze dał rostowski bank „Doninwest”). Milicja, kontrolująca operację, w obawie przed skrajnymi posunięciami terrorystów, na tym etapie nie podejmowała prób ich zatrzymania.

Zwłoki Loni Tiracujana znaleziono później w jednym z miejskich zbiorników wodnych z przywiązaniem do nóg odważnikiem. Chłopiec został zamordowany w godzinę po odebraniu przez porywaczy okupu, gdyż miał nieszczęście rozpoznać w jednym z bandytów gościa rodzinnego domu.

najstarszy ma 26, a najmłodszy 19 lat. W przestępczym fachu byli nowicjuszami, a motywem przestępstwa były długi. Obliczyli, że grawer Tiracujan, oj-



ciec ich ofiary, ma odpowiednią ilość gotówki.

Relacjonując przebieg zdarzenia, szef obwodowego Zarządu Spraw Wewnętrznych generał M. Fietisow dał niedwuznacznie do zrozumienia, że wszystko przybrałoby inny obrót, gdyby w dniu porwania chłopca główne siły milicji nie zostały skierowane do powstrzymania 700 Kozaków maszerujących na Rostów. Po przeglądzie sił w Nowocerkasku, Kozacy postanowili uwolnić z aresztu śledczego w Rostowie swych dwóch współtowarzyszy. Na pytanie dziennikarzy, jakie środki przeciwdziałania podjęła milicja i prokuratura, generał odpowiedział: „Nie podjęto żadnych działań, gdyż nie został zakłócony porządek publiczny. Kozacy podeszli pod Rostów i oczekiwali, co powiedzą ich atamani.”

Trzech generałów — szef obwodowej milicji, szef prokuratury i szef służby wywiadu federalnego — do godziny 24.00 przekonywało kozackich atamanów, by zaniechali swego zamiaru.

Po porwaniu Loni Tiracujana mieszkańcami Rostowa wstrząsnęła jeszcze jedna zbrodnia — w świąteczny dzień z bramy porwano siedmioletnią Anię. Ciało dziewczynki, noszące ślady wymuszonych tortur, znaleziono następnego dnia na drabinie pożarowej. Gwałciiciel zamęczył dziecko. Gdy zatrzymano zabójcę, okazało się, że ma on 16 lat i mieszka w tym samym domu co jego ofiara.

na podst. „Literaturnej
Gazety” (nr 21/94) oprac. W.G.



Algieria

Fanatyczni zabójcy przed wejściem do meczetu pozostawiają obok butów nabitą broń. Europejczycy i inni niewierni w poplochu opuszczają Algierię. Pracownicy ambasad czekają z przygotowanymi już walizkami i biletami lotniczymi w pogotowiu. Islamskie „dożynki” trwają.

W IMIĘ MAHOMETA

Dawno już minęły czasy, gdy gościnnie Algieria bez ograniczeń przyjmowała cudzoziemców, zwłaszcza naukowców różnych specjalizacji, tak bardzo potrzebnych do podniesienia poziomu techniki i edukacji. Dawno także skończyła się dobra passa dla polskich kooperantów, masowo zjeżdżających do Algierii na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych i znajdujących tam dobrą pracę, prawie zawsze we własnym zawodzie, i wysokie zarobki. Dzisiejsza Algieria buntuje się. Przeciwko postkolonialnej obecności Francuzów na jej terytorium, przeciwko antenom satelitar-nym, piosence rockowej, samochodom terenowym, mini-spódnicz-

dobą. Winą za taki stan rzeczy, jak i za wiele innych „deprawacji” obarcza się oczywiście Europejczyków.

Ostatnie dwa lata naznaczone były w Algierii krwawymi zamachami i nieustającymi morderstwami. Ich liczbę szacuje się na około 20 osób dziennie. Są to jedynie dane oficjalne. Według prawdziwych znawców tematu, cyfrę tę należałoby pomnożyć przynajmniej przez trzy.

W każdym niemal zakątku „białego miasta”, jak nazywany jest Algier, czy to w bogatej dzielnicy willowej, czy na jednej z wąskich uliczek Kashbah — starego miasta, wraz z rekinami znie-nawidzonej nomenklatury zabijani są europejscy kooperanci, żołnierze i funkcjonariusze miejscowej policji, wreszcie arabscy intelektualści, bo zbyt często wypowiadają się po francusku. Zdarza się też, że przez zwykły przypadek giną dzieci, ale nikt się tym nie przejmie — „małe owieczki złożone na ołtarzu słusznej sprawy”. Fanatyczni mężowie zabijają swe nie dość pobożne i zepsute europejskością żony. Ginią też Żydzi — „odwieczni



tarcie do każdego oficjalnego urzędu i nie ma instytucji, w której by nie został umieszczony przynajmniej jeden jej przedstawiciel. Rzecz jasna, nieoficjalnie.

I tak jak w przypadku włoskiej mafii — działalność ta nie opiera się wyłącznie na zastraszaniu czy przemocy. Organizacja pozyskuje nowych zwolenników szeroką aktywnością społeczną, jak np. utworzeniem ogromnej sieci towarzystw dobroczynnych, budową szkół i szpitali. Dociera wszędzie tam, gdzie państwo jest nieobecne. Im większa liczba bezrobotnych, tym więcej członków ugrupowania. Mechanizm jego funkcjonowania jest jak widać prosty. Coraz liczniejsze są też przypadki dezercji poborowych i przyłączania się do paramilitarnych szeregów organizacji.

Co na to algierski rząd?

FIS jest jedyną opozycją na arenie politycznej Algierii od 1988 roku. W wyborach do parlamentu w grudniu 1991 na 228 miejsc zdobył aż 188. Dla rządu była to autentyczna katastrofa, a ówczesny prezydent Chadli Benjedid podał się do dymisji.

Sukces jednak nie trwał długo. Kolejne wybory były już dla ugrupowania kompletną porażką. Nowy rząd przedsięwziął niezwykle radykalne środki, by usunąć ze sceny politycznej głównych przywódców FIS. Posunięto się nawet do masowych aresztowań. Była to jednak czysto teoretyczna likwidacja organizacji, która w rzeczywistości nie przestała działać ani na chwilę.

Nowy prezydent Algierii, Liamine Zeroual, zapowiedział bezkompromisową walkę z fundamentalistami. Podobno policja otrzymała wyraźny rozkaz stanowczego przestrzegania zasady „oko za oko, ząb za ząb”. W odwecie za każdego zamordowanego policjanta „likwiduje się” jednego członka organizacji odsiadującego aktualnie karę w więzieniu... Jednakże działalność aparatu bezpieczeństwa ogranicza się jak na razie jedynie do wymierzania sprawiedliwości za śmierć funkcjonariuszy, a jak wiadomo jest to tylko niewielki procent ofiar fanatycznych wyznawców islamu.

MONIKA SOKALSKA



kom. Wszystko to, co pochodzi z Europy lub w jakikolwiek sposób przypomina zwyczaje Starego Kontynentu, spotyka się z gwałtownym sprzeciwem najbardziej zagorzałych islamistów. Wszelkie, coraz liczniejsze zakazy dotyczą przede wszystkim kobiet.

— „Kobiety z natury swej deprawujące — jak zostały u nas określone — są dla islamskich fundamentalistów przedmiotem ciągłych szykan i prześladowań. Są obsesją porównywalną jedynie do stosunku Hitlera do Żydów.” Tak przedstawiał sytuację znany algierski pisarz Rachid Mimouni, publikujący swe utwory w języku francuskim, za co został skazany na karę śmierci. Posłuszne do tej pory gospodynie domowe i matki kilkanaściora drobiazgu, których jedynym celem życia był „co rok prorok” obecnie zrzucają z siebie odwieczne okrywające je długie szaty, odsłaniają twarze — widok do tej pory zastrzeżony wyłącznie dla mężów — i wychodzą na ulice. Pod wpływem poruszających się wszędzie swobodnie Francuzek, Polek, Węgerek, arabskie kobiety zaczęły się wreszcie „doceniać”. Nie wszystkim to się jednak po-

sprawcy wszelkich agresji na tle religijnym w dziejach ludzkości” — jak to określił w jednym z wywiadów udzielonych tygodnikowi „Al Wasal” główny teoretyk FIS (Frontu Wyzwolenia Islamu). Kinom, które decydują się na projekcję amerykańskich filmów, grozi wysadzenie ich w powietrze. Turyści spacerujący po ulicach muszą być przygotowani na niespodziewany atak. Wszystkie te wydarzenia są ponurym znakiem powrotu islamskich fundamentalistów.

Od czterech lat tzw. Islamska Międzynarodówka, powstała w stolicy Sudanu, skupia liczne organizacje fundamentalistów religijnych z ponad pięćdziesięciu państw, głównie z Bliskiego Wschodu. Celem połączenia tych sił jest sprawne i efektywne zwalczanie wszelkich przeciwników islamu, w tym głównie byłych kolonizatorów i dążenie do utworzenia jednego państwa, którego konstytucja opierać by się miała na głównych zasadach Koranu. Międzynarodówka radykalnie zrywa wszelkie kontakty z Zachodem. Na wzór sycylijskiej mafii jest samowystarczalna. Doskonała struktura polityczna i wojskowa umożliwia jej do-

Brazylia

MIESZKAŃCY LINCZUJĄ MORDERCÓW

Mieszkańcy Salto do Lontra (stan Parana), wzburzeni zamordowaniem 26-letniej pielęgnarki, Iranildy Ribeiro Comerlato, po jej pogrzebie wtargnęli do posterunku policji i zlincolnowali trzech mężczyzn, oskarżonych o to morderstwo.

Przynajmniej 100 mężczyzn wdarło się do budynku, a 30 z nich uzbrojonych w rewolwery, kije lub metalowe pręty dokonało linczu.

— Zachowywali się jak dzikie bestie — mówi posterunkowy Joao Rodrigues. Dziesięciu policjantów znajdujących się wtedy w posterunku nie miało najmniejszych szans na odparcie napaści. Jeden z oskarżonych został zastrzelony w celi, a pozostali wywleczeni na korytarz i załuczono kijami i prętami. Inni aresztanci nie uciepili.

Pielęgarka Iranilda została zastrzelona w drodze do domu ze szpitala przez dwóch mężczyzn, którzy zwabili ją do samochodu.

Byli to: 39-letni Heitor Filho, sprzedawca i 30-letni Rodolfo Neto, policjant, obaj z Rio de Janeiro. Rodolfo Neto zeznał, że działał na polecenie lekarza Claudio de Almeida, właściciela szpitala i szwagra Heitora. Za „nastraszenie” pielęgnarki, która rzekomo „wprowadziła zamęt” w życie rodzinne lekarza, mieli otrzymać 500 tys. cruzeiros. Zdaniem ogółu mieszkańców Salto do Lontra, przyczyną morderstwa była prowadzona przez Iranildę szeroko zakrojona akcja na rzecz pracowników szpitala, skierowana przeciw jego właścicielowi.

Żona lekarza, Ana de Almeida, oskarżyła posterunkowego i policjantów o niedopięnienie obowiązków. Posterunkowy twierdzi, że to biurokracja uniemożliwiła mu przewiezienie aresztowanych do odległego o 70 km więzienia, co pozwoliłoby uniknąć gwałtownej reakcji ludności. Posterunkowy przyznaje, że jeszcze przed pogrzebem otrzymał sygnały o tym, że rodzina zamordowanej jest bardzo wzburzona. Świadkowie zeznali, że już na pogrzebie grożono rewolwerami. Po zakończonej ceremonii prawie wszyscy jej uczestnicy ruszyli w stronę posterunku, wykrzykując, by wydano im bandytów. Twierdzili, że na sprawiedliwość nie można liczyć, że winni z pewnością zostaną wkrótce zwolnieni.

na podst. „Jornal do Brasil”
oprac. KRYSZYNA GÓRNIK

ZAGADKA

Dzień był pogodny i ciepły, jak to czasem bywa w środku lata. Przez centrum miasta przejeżdżał jakiś wyścig kolarski, toteż nad Wartą, mimo sprzyjającej pogody, było pusto. Ledwie kilku najbardziej zapalonych wędkarzy cierpliwie obserwoowało spławiki. Rzeka sprawiała wrażenie jakby zatrzymała się w miejscu. Dopiero płynący po niej dziwny kłębek przypomniał o jej wartkim nurcie.

Na środku rzeki, bezwładnie niesiony przez prąd, utrzymywał się na powierzchni wody zgięty w pół człowiek. Głowę miał całkowicie zanurzoną.

Wędkarze podnieśli się z miejsc. Czym prędzej zawiadomili policję. Początkowo sądzili, że utonął żołnierz z miejscowej jednostki, gdyż topielec ubrany był w spodnie typu moro. Dopiero po wywołaniu go, kiedy na brzegu znalazła się już policyjna ekipa oraz z minuty na minutę gęstniejący tłum gapiów, rozpoznano topielca jako kelnera z restauracji „Mieszko”, należącej do najlepszego w mieście hotelu o tej samej nazwie. Jego kuczna pozycja wynikała stąd, że przed wrzuceniem do wody został związany sznurem do bielizny, do którego drutem przyczepiono dwie cegły. Na szyi miał zaciśniętą pętlę. Żeglarskie węzły na sznurze związane były bardzo fachowo.

Denat miał około 35–40 lat, 188 cm wzrostu, 90 kg wagi i bardzo muskularne ciało, najprawdopodobniej uprawiał jakiś sport lub ćwiczył kulturystykę.

Policjanci rozpoczęli śledztwo od potwierdzenia tożsamości wyłowionych zwłok. Okazało się, że 15 czerwca Grażyna Taczyńska zgłosiła zaginięcie swojego męża, 37-letniego Jerzego Taczyńskiego. Najpierw powiadomiła policjantów, że mąż 1 czerwca wyjechał do Niemiec w interesach i miał wrócić za tydzień. Pojechał, by sprowadzić mercedesa na zamówienie któregoś z kelnerów. Potem wzięta w krzyżowy ogień pytań ze łzami w oczach wyznała, że jej mąż miał kochankę, dwudziestokilkuletnią recepcjonistkę z hotelu „Miesz-

ko” i to razem z nią wyjechał do Niemiec, zostawiając żonę i 7-letnią córeczkę bez środków do życia. Po jego wyjeździe okazało się, że pożyczył od brata, Marka, 8 tysięcy marek niemieckich, które obiecał zwrócić po sprzedaży sprowadzonego z Niemiec samochodu.

14 czerwca Marek zaczął się niepokoić, gdyż Jerzy obiecał mu, że wróci najpóźniej za tydzień, czyli 7 czerwca. Przyszedł do Grażyny i wspólnie ustalili, że muszą zgłosić zaginięcie Jerzego na policji.

Policjanci bez trudu ustalili personalia 23-letniej recepcjonistki z hotelu „Mieszko”. Iwona Barszczewska rzeczywiście utrzymywała przyjazne stosunki z kierownikiem restauracji, czyli Jerzym Taczyńskim, ale nikt nie miał pewności, czy była to przyjaźń, czy coś więcej, czy może tylko jakieś wspólne interesy. Iwona miała wielu znajomych i przyjaciół, i trudno było wymienić kogoś, jako jej jedyne. Natomiast całkowicie został potwierdzony fakt jej wyjazdu do Niemiec. 1 czerwca przekroczyła granicę we Frankfurcie nad Odrą. Niestety, o tym, by tego samego dnia granicę przekroczył Jerzy Taczyński służby graniczne nie miały meldunku. Czyżby wyjechał nielegalnie, może na cudzy paszport?

Policjanci z pionu kryminalnego dowiedzieli się natomiast, że Jerzy miał mnóstwo kontaktów z Niemcami. Często wyjeżdżał do Berlina, Hamburga, Monachium, skąd przywoził rozbite dwu-, trzytętnie samochody, remontował je w warsztacie swojego przyjaciela Tomasza Siemińskiego i sprzedawał z zyskiem. Za ostatnio wyremontowane audi Taczyński zapłacił mu równo 1000 dolarów. Na transakcji, według pana Tomasza, zarobił pięciokrotnie więcej, a przecież obiecywał dzielić się zyskiem po połowie.

Ponadto Taczyński był znanym w mieście pokerzystą, mającym dzięki szczęściu w kartach wielu dłużników i wrogów jednocześnie.

Przeprowadzone bardzo szczegółowo oględziny w mieszkaniu państwa Taczyńskich niczego w zasadzie nie ujawniły. Poza mikroskopijnymi śladami krwi na dywanie i klatce schodowej. Były jednak tak małe, że niczego poza ustaleniem, iż jest to krew ludzka, nie dało się określić, nawet jej grupy w zakresie podstawowym „A”, „B”, „O”.

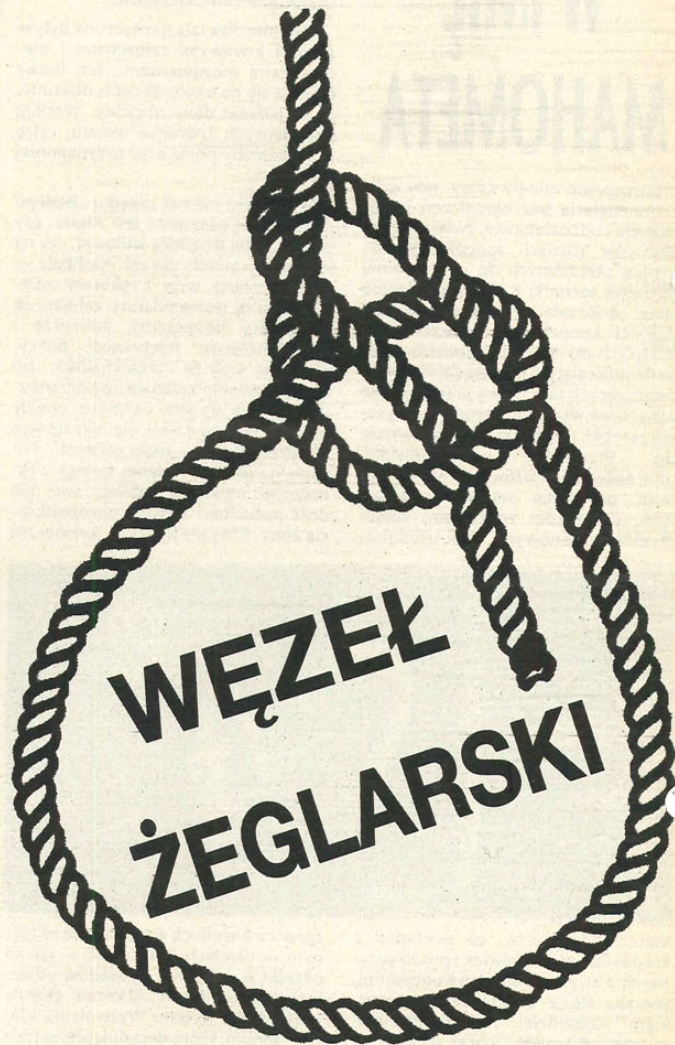
W mieszkaniu znaleziono jeszcze okulary korekcyjne — 4 dioptrie, co oznacza dość dużą wadę krótkowzroczności. Jak stwierdziła pani Grażyna, należały do jej męża. Miał dwie pary.

Sekcja zwłok wykazała, że śmierć Jerzego Taczyńskiego spowodowało uduszenie. Nie żył, zanim wrzucono go do wody. Bezpośrednią przyczyną zgonu była więc pętla zadziergnięta na szyi. Miała 26 cm obwodu, jego numer kołnierzyka — 43 cm, zaciśnięta była więc z ogromną siłą. Innych obrażeń nie stwierdzono.

Policjanci pracowali dalej. Usta-

cie uśmiechnęło się do Jerzego, który wygrał od hurtownika około dwustu milionów zł. Płozą przy tej okazji wyzwał go od szulerów, oszustów i jeszcze gorzej, po czym zagroził, że spali mu dom albo porwie córkę i zażąda w zamian zwrotu nieuczciwie, jego zdaniem, wygranych pieniędzy.

Marek Taczyński miał także powód, by nie lubić swojego brata. Pożyczył mu przecież 8 tysięcy



lili, że 15 maja Jerzy Taczyński wygrał sporą sumę w pokera od właściciela hurtowni piwa Jana Płozy. Oba panów łączyły wspólne interesy polegające na tym, że Jerzy zamawiał piwo na potrzeby hotelowej restauracji tylko od pana Płozy, zwiększając wydatnie w ten sposób jego zyski. Jan nie zapomniał przy tej okazji o pewnych gratyfikacjach. Wszystko szło więc dobrze, aż do momentu, gdy okazało się, że obaj panowie są zapalonymi pokerzystami. 15 maja zasiedli przy zielonym stoliku i tak skończyła się ich przyjaźń. Szczęś-

marek, najdalej po tygodniu miał dostać 10 tysięcy, tymczasem pieniądze przepadły wraz z Jerzym.

A swoją drogą, ciekawe po co Jerzy pożyczył te 8 tysięcy marek — zastanawiali się policjanci. — Od Płozy wygrał blisko 200 milionów zł, na ostatnio sprzedanym audi zarobił około 4 tysięcy dolarów, praca kierownika hotelowej restauracji także nie należała do niedochodowych. Wszystko więc wskazywało na to, że zgromadził całkiem niezły majątek. Ale to tylko niepotwierdzone domysły. Nikt nie był w stanie (lub nie

chciał) tego powiedzieć. Nawet żona Jerzego o niczym nie wiedziała.

Sąsiad państwa Taczyńskich, Bolesław Myśliński, drobny, niewysoki mężczyzna pracował naukowo w miejscowym uniwersytecie. Pisał właśnie pracę doktorską. Ponadto uwielbiał żagle, na które zabierał go najczęściej brat Jerzego, Marek Taczyński, z którym bardzo się przyjaźnił. Podczas wspólnych wypraw na jeziora plotkowali o wszystkim, między innymi o Jurku i Grażynie. Przyszły doktor nauk chemicznych nieraz mówił, że zazdrości Jurkowi tak wspaniałej i pięknej żony, bardzo lubił o niej mówić lub słuchać opowieści Marka na jej temat. Twierdził, że chciałby się z nią zaprzyjaźnić, lecz nigdy nie miał odwagi. Zwłaszcza że jej mąż, czyli Jerzy, bardzo go nie lubi.

Tymczasem policjanci ustalili, że 29 maja Jerzy podjął wszystkie pieniądze z banku. Było tego prawie 15 tysięcy dolarów i 500 milionów zł. I tych pieniędzy nigdzie nie znaleziono i nikt o nich nie wiedział.

Pani Grażyna stwierdziła jedynie, że mąż dostawał ostatnio jakieś anonimy, chyba ktoś żądał od niego pieniędzy. Ale nie wie kto i dlaczego. Mąż nic jej na ten temat nie mówił, może nie chciał jej martwić. Nie zauważyła też, by nosił przy sobie większą ilość gotówki. Nie wiedziała także o istnieniu jego konta w banku, do którego rzeczywiście nie miała dostępu.

7-letnia córeczka Taczyńskich nie odpowiadała na żadne pytania policjantów. Była chyba przerażona liczbą kręcących się po domu obcych mężczyzn, zaglądających pod łóżka i szafy. Ale okazało się, że w szkole zrobiła się równie milcząca. Na przykład 2 czerwca pani prosiła dzieci, by opowiedziały, jak minął im poprzedni dzień. W ogóle nie chciała nic powiedzieć, choć należała do najlepszych uczennic w klasie.

Policjanci jeszcze raz zainteresowali się recepcjonistką z hotelu. Postanowili odszukać ją przez Interpol. Zwłaszcza że w kraju w kręgu jej znajomych zaczęła krążyć plotka, że lwona nieźle się ustawiła w Niemczech. Podobno kupiła dobrze prosperujący sklep czy salon piękności. Ciekawe za co? — dziwili się jej znajomi.

Po otrzymaniu zgody od prokuratora prowadzący śledztwo otworzyli jej mieszkanie. W nocnej szafce znaleźli okulary korekcyjne — 4 dioptrie oraz kopię wyciągu z banku potwierdzającego likwidację przez Jerzego Taczyńskiego konta złotówkowego i dewizowego. Krag podejrzeń wokół pani lwony zaczął się zacieśniać. Ze znalezionymi u niej okularami prowadzący śledztwo udali się do

pani Grażyny Taczyńskiej. Chodziło o to, by je zidentyfikowała. Przypadkowo zastali u niej sąsiada Bolesława Myślińskiego, który na widok trzymany przez nich okularów zbladł i pospieszenie wyszedł.

Jeszcze tego samego dnia zgłosił się na policji. Stwierdził że od dawna kochał się w Grażynie. Jerzy zdradzał ją na lewo i prawo, więc uważa, że miał moralne prawo zalecać się do jego żony. Jerzy dowiedział się o ich romansie i obiecał, że go wykończy. Ćwiczył przecież kulturystykę.

1 czerwca wyszedł na klatkę schodową, by sprawdzić, czy jego rywal jest w domu. Schylił się i zajrzał przez dziurkę od klucza. Z Grażyną mieli umówiony znak, dzięki któremu orientował się czy Jerzy jest w domu. W tym momencie zobaczył nad sobą Jerzego z uniesionym w ręce metalowym drążkiem. Rzucił się na niego, wyrwał mu ów drążek i uderzył z całej siły w głowę. Jerzy stracił przytomność. Zaczął go cucić, ale nic nie pomogło. Ponieważ Grażyna nie było w domu, postanowił sam ukryć zwłoki. Związał je w pozycji kucznej, zapakował w koc i wtaszczył do windy. Podczas jazdy w dół rzekome zwłoki poruszyły się. Wówczas przerażony zacisnął pętlę na szyi Jerzego zrobioną z reszty sznurka. Zwłoki ukrył w piwnicy.

O godzinie 24.00 wyniósł zawinięte w koc ciało i wraz z dwiema cegłami wpakował do worka i zaciągnął do zaparkowanego przed blokiem malucha. Pojechał nad Wartę. Obciążone cegłami ciało wrzucił do wody na brzegu. Końcem sznura przeciągnął je w wodzie idąc po moście na środek rzeki do głównego nurtu. Liczył, że wypłyną znacznie dalej i później, kiedy już po obronie pracy doktorskiej wyjedzie na stypendium do Francji. Razem z Grażyną, oczywiście.

Po tym wyznaniu policjanci przeszukali jego mieszkanie. Znaleźli resztki sznura do bielizny i drut, które natychmiast powędrowały do Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego KGP i tam zostały poddane szczegółowym badaniom. Eksperci nie mieli wątpliwości. Skład chemiczny i inne parametry sznura i drutu znalezionych w mieszkaniu Myślińskiego są identyczne z tymi, których użyto do związania zwłok...

A więc zagadka została rozwiązana. Czy rzeczywiste? Czy tak było naprawdę? Odpowiedź oczywiście w następnym numerze!

TADEUSZ NOSZCZYŃSKI

PS Nazwiska wszystkich postaci zostały zmienione.

NA ŻYWO

OMIJANIE PRAWA

Gdy się tak uważnie wsłuchać i wczytać w to, co się mówi i pisze o wszystkich możliwych, choć nieraz trudnych do wyobrażenia, formach patologii społecznych jakie występują w naszym kraju, można odnieść wrażenie, że choć czasem, jakby z nawyku, ktoś tam z wysokich trybun bąka o państwie prawa — Polska de facto upodabnia się do oazy bezprawia. Na wzór pozostałych krajów dawnego bloku radzieckiego, z WNP na czele (bo jakże inaczej, kto by im śmiało zabrać pierwszeństwo).

Jak to mówią: kota nie ma — myszy harują. Podstawowy dla prawidłowego funkcjonowania państwa akt prawny, jakim jest Konstytucja, wciąż znajduje się w stadium przygotowawczym, w sferze projektów. Ciągłe ich przybywa zresztą, rodzą się jak grzyby po deszczu, pomysłowość projektodawców zdaje się nie mieć granic. Zgłaszane pomysły oczywiście nie przystają do siebie, czy wręcz — wykluczają wzajemnie. Długo jeszcze parlament będzie miał nad czym główkować.

Tymczasem korzysta się więc z tzw. Małej Konstytucji oraz przestarzałych norm prawnych i przepisów — nawiasem mówiąc — w 70 procentach ustanowionych w PRL.

Gdy już coś w sposób jaskrawy kłóci się, w ogólnym odczuciu społecznym, z rzetelnie rozumianym porządkiem prawnym i rudymenarnymi zasadami demokracji — zaczynają się korowody z wyjaśnieniem sprawy na linii: rzecznik praw obywatelskich — rząd — Sejm i Senat — Belweder. A jak już się wszyscy ze wszystkimi dokładnie skonfliktują, obywatelom zaś oczekującym klarownego wyjaśnienia zrobi się woda z mózgu — pan rzecznik odwołuje się do Trybunału Konstytucyjnego, ten się po jakimś czasie wypowiada, ale, że nie są to orzeczenia zobowiązujące do czegośkolwiek, krag się zamyka i sprawa utyka w miejscu, w martwym punkcie. Każdy interpretuje sporną kwestię, jak mu jest wygodnie; wykładnią staje się własne widzimisie.

I tak się dzieje każdego dnia, o każdej godzinie, w każdej sprawie nie uregulowanej jasnymi, klarownymi przepisami, co odpowiadałoby normom prawnym współczesnego, demokratycznego — jakby się wydawało — państwa.

A spraw takich przecież można naliczyć dziesiątki, setki. Jakież to daje możliwości osłabienia stanowienia prawa przez jego przypadkowych interpretatorów? Jakież to pole do nadużyć?!

Nie są to raczej okoliczności sprzyjające funkcjonowaniu państwa na zdrowych, solidnych podstawach, a jego obywatelom gwarantujące rzeczywistą dbałość i najwyższą troskę o ich interesy ze strony najwyższych urzędów i organów państwowych, ciał ustawodawczych i aparatu wykonawczego.

Przykłady mijania się z prawdą i omijania prawa można mnożyć w nieskończoność. Pozostając chociażby w kręgu uwikłanej w nieustanne naruszenia prawa problematyki dziecięco-młodzieżowej.

Jeszcze nie przebrzmiały echa skandali i afer związanych z handlem „częściami zamiennymi” (niektóre organy pobierane od zmarłych dzieci), z nielegalną wywózką dzieci za granicę w celach adopcyjnych czy sprzedażą ich dewiantom seksualnym — a już mass media biją na alarm w sprawie zatrudniania dzieci przy pracach dla dorosłych. Nierazko przy tym mają miejsce przypadki wysługiwania się małoletnimi w wieku grubo poniżej granicy dopuszczalnej ustawowo przy zatrudnianiu młodocianych. Zwykle dzieje się to półlegalnie, ale przeważnie proceder ma charakter niejawnego, z ominięciem jakichkolwiek przepisów ubezpieczeniowych i socjalnych, z lekceważeniem zagrożeń dla zdrowia i życia dzieci, oszukiwanych z reguły przy wypłacie, zbywanych nędzną zapłatą.

Pejzaż uliczny, z zadowolonymi już jakby na stałe w Polsce małymi zebrakami, Cyganiakami, dziećmi z Rumunii i b. Jugosławii — wzbogaciła ostatnio najmłodsza „klasa biznesowa”, wywodząca się z rodzimych kręgów przedsiębiorczych małolatów. Są niezwykle ruchliwi, działają w różnych rewirach, handlują czym się da, świadczą usługi w rodzaju mycia szyb w samochodach, otwierania drzwiczek aut przed hotelami, odnoszenia walizek. Już nie mówiąc o prostytuowaniu się i rozprowadzaniu narkotyków.

Wypytywane przez reporterów telewizyjnych i prasowych o cel zdobywania pieniędzy dość dziwną w końcu drogą — owi „juniorzy biznesu” nie udają zawstydzenia, zaskoczenia, nie kryją się, nie wykręcają od odpowiedzi: jedynym to bawi, bo inni też tak robią, drudzy polknęli bakcyli „zaradności” ze słyszenia, od dorosłych, niektórzy po prostu chcą odciążyć niezamożnych rodziców i nie oczekiwać od nich „kieszonkowego” na słodycze, lody czy kino, a bywa, że w ten sposób starają się pomóc na przykład matkom samotnie wychowującym dzieci.

Ostatecznie — pomijając fakty kradzieży czy prostytucji — niby nic groźnego. Na pozór. Lecz gdy zamiast szkoły, domu, organizacji młodzieżowych i duszpasterstwa, ulica zaczyna wychowywać dzieciaki w wieku 6–12 lat, to trzeba przyjać także tę czarniejszą stronę scenariusza: że stąd krok tylko do kolizji z prawem, do skoku na kiosk, włamu do mieszkania, kradzieży samochodu, wreszcie do roboju z bronią w rękę, do zabójstwa w celach rabunkowych.

Ale — jak to już wielokrotnie napomynał piszący te słowa — ojcowie narodu zajęci sprawami w ich pojęciu wyższego rzędu, nie biorą pod uwagę, że lekceważenie problemu wychowania dzieci i młodzieży, to karygodna krótkowzroczność. Nieuczciwość wobec państwa. Chyba że stosuje się maksymę Ludwika XIV: „L'Etat c'est moi” — Państwo to ja.

LECH TERPIŁOWSKI



NA STARÓW po stare

Bo oprócz zabytków lubelskie Stare Miasto to około 5 tysięcy mieszkańców, z których znaczną część stanowi tzw. element kryminogenny, alkoholicy, lumpy, złodzieje. Jest to rejon szczególnie zagrożony przestępczością, zamieszany przez środowisko zamknięte i wyjątkowo niechętnie policji.

Kiedy podczas rutynowego patrolowania tego rejonu policjanci po-

na dole rozległe targowisko, a między nimi schody. Każde z tych miejsc spełnia dla złodziei określoną rolę. Na bazarze szukają potencjalnych ofiar, najczęściej typując handlarzy zza wschodniej granicy, którym w odpowiednim momencie wyrwają torebkę czy portfel. Schody stanowią drogę odwrotu, którą złodziej ucieka w górę, na Stare Miasto. A tu bardzo łatwo znaleźć kryjówkę, błyskawicznie więc znika w jakiejś bramie, zaułku czy podwórku.

Prawdziwa liczba kradzieży w tym rejonie nie jest znana, do policji zgłaszają się tylko nieliczni poszkodowani.

☆☆☆

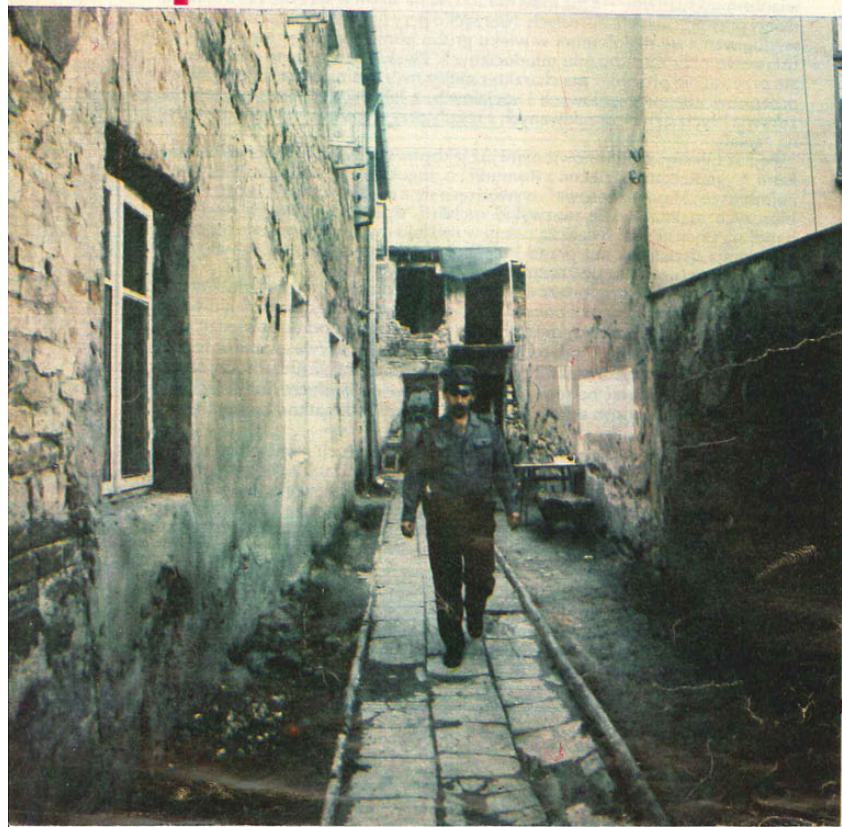
Rejon lubelskiej Starówki obsługuje I Komisariat Policji, który poza tym ma pod nadzorem także całe centrum Lublina. Samorząd osiedlowy od dawna starał się, że-

Lubelskie Stare Miasto liczy 159 kamieniczek i obiektów sakralnych, w tym 120 zabytkowych. Ale miejsce to w niewielkim stopniu przypomina urokliwe starówki warszawską czy krakowską. Domy są tu stare nie tylko historycznie, ale przede wszystkim ze względu na zaniedbanie. Nie widać zwiedzających wycieczkowiczów, za to na każdym kroku zobaczyć można przesiadujących na schodkach lumpów, walające się w bramach śmieci i butelki po winie, wylane na podwórko pomyje.

stanowili wylegitymować pijanego mężczyznę, omal nie doszło do poważnej rozróbki. Mężczyzna odmówił okazania dokumentów i zaczął ubliżać policjantom, zdecydowali więc, żeby zabrać go do komisariatu. Nie pozwalali na to pijani koledzy legitymowanego i z dużym trudem policjanci wycofali się wraz z zatrzymanym do radiowozu.

Podczas gdy załoga radiowozu odwoziła pijanego do izby wytrzeźwień, do komisariatu wpadła zdyszana kobieta krzycząc już od drzwi po ukraińsku, że okradli ją na bazarze. Ktoś ją potrącił, ktoś inny wyrwał portfel, w którym było 1300 dolarów. Policjanci natychmiast ruszyli na penetrację terenu. Po kilkunastu minutach w bramie jednej z kamienic Starego Miasta zatrzymali kilku mężczyzn. Kobieta rozpoznała jednego z nich. Niestety, skradzionych pieniędzy nie miał przy sobie. Zdążył je przekazać komuś innemu.

Policjanci dobrze znają ten złodziejski rejon. Na górze Starówka,



OWCE mu

by komisariat przenieść tu, na Stare Miasto, ale trzeba by do tego celu wykwaterować całą kamienicę, co przy braku mieszkań jest niemożliwe. Uzyskano przynajmniej tyle, że Starówka ma trzech dzielnicowych, dla których załatwiono tu na miejscu pokój przyjęć interesantów. Samorząd zainicjował też zbieranie funduszy na zakup radiowozu dla komisariatu, z przeznaczeniem go w szczególności na Stare Miasto. Zebrano 30 milionów, resztę dołożyła KWP i radiowóz już jeździ.

W 1986 roku staraniem ówczesnych radnych na Starym Mieście powołano Straż Obywatelską, która pełniła służbę porządkową w tym rejonie. Straż miała uprawnienia do legitymowania, zatrzymywania, sporządzania wniosków do kolegów. Chodzili w patrolu

sami albo z dzielnicowym, wymieniali się informacjami, robili wspólne akcje. Dziś, gdy pytam o tę straż, niewiele pamięta, że ona w ogóle istniała. Z braku funduszy na utrzymanie nie funkcjonuje bowiem już od kilku lat.

8 lat temu pisałam reportaż o remoncie tej dzielnicy i planach wobec niej ówczesnych władz miasta. Reportaż zatytułowałam wówczas optymistycznie: „Kiedyś będzie tu pięknie”. W rozmowach z działaczami samorządowymi, przedstawicielami Zarządu Rewaloryzacji Starego Miasta słyszałam: „Rewaloryzacja całości potrwa kilka lat. Kompleksowo robimy obiekty najbardziej zagrożone, a w pozostałych na razie kosmetykę: tynki, rynny, latarnie, numery domów. Mieszkańcy? Będziemy ich przesiedlać. Tu są stare i złe mieszkania, więc tylko na tym skorzystają...”

Kiedyś będzie tu z pewnością najpiękniejszy zakątek Lublina. Odrestaurowane XVI-wieczne kamieniczki, wybrukowane ulice, sklepy pamiątkarskie, księgarnie, biura turystyczne, salony wystawowe. Niewiele stałych mieszkańców, za to wielu zwiedzających. Miejsce spacerów i relaksu. Cisza, spokój. Ale na to trzeba jeszcze poczekać. Póki co prowadzone są działania mające na celu ochronę zabytków przed niszczącym działaniem czasu, a mieszkańców przed całkowitą demoralizacją...”

Dziś, gdy wracam do tego tematu po ośmiu latach mogę powiedzieć: widzę, że niewiele się tu zmieniło. Niszczące działanie czasu na lubelskiej Starówce zatrzymano w niewielkim stopniu, a remonty trwają właściwie cały czas. Wykwaterowano zaledwie kilka rodzin, na resztę brak funduszy i na razie nie wchodzi to w rachubę. Co zaś do mieszkańców, to nie

zmieniło się nic. Złodzieje, alkoholicy, prostytutki, meliniarze, narkomani, wachacze butaprenu nadal utrudniają życie spokojnym obywatelom, starzy ludzie nadal wymagają pomocy, podobnie dzieci z wielu rodzin, od najmłodszych lat uczone przestępczego życia, rozpijane i demoralizowane.

Przychodzą na Starówkę kolejni, nowi dzielnicowi i mają do rozwiązania te same stare problemy.

ELŻBIETA SITEK
zdj.
Krzysztof Mokrzejewski



Policyjna obserwacja nie wypuszczała ich spod swej kontroli. Wpadka międzynarodowych handlarzy bronią stała się więc nieunikniona.

Byli sprytni i przebiegli. Pozorowali zachowania, które miały zdezorientować łódzkich policjantów. I trzeba powiedzieć, iż czasem im się to udawało.

Jak w wielu sytuacjach, tak i w tej funkcjonariuszom przyszedł w sukurs przypadek. Ktoś zadzwonił do KWP. Telefon przyjął zastępca naczelnika WOR nadkom. Ryszard Woźny.

— Wiem — powiedział nieznajomy — że interesują was ci cwaniacy handlujący bronią. Jeżeli wam się powiedzie, dziś jeszcze będziecie ich mieli w pudle. Przywiozł broń do mieszkania przy ul. Sienkiewicza.

— Informację przyjąłem z uwagą, ale i sceptycznie — mówi nadkom. R. Woźny. — Nie można było wykluczyć chęci skupienia naszych sił w miejscu, gdzie nic się nie będzie działo. Oczywiście po to, by swobodnie działać w innym rejonie Łodzi. Z drugiej strony nie miałem powodów, by sądzić, że informator podaje mi nieprawdę. A zatem, nie przerywając ustalonych wcześniej przesiewzięć, wysłaliśmy grupę funkcjonariuszy także na ul. Sienkiewicza.

Jednakże usytuowanie wskazanego nam budynku nie pozwalało na całkowitą konspirację. Około godz. 17.00 z bramy domu przy ul. Sienkiewicza wyszedł młody mężczyzna. Policjanci rozpoznali w nim jednego z podejrzanych — Dariusza S. Sprawiał wrażenie, że na kogoś czeka. Istotnie, po upływie kilku minut przed bramą zatrzymał się dość ostro furgon marki Renault—Rapid. Z szoferki wysiadł kierowca, którym był drugi z podejrzewanych — Włodzimierz Z. Wyjął z wozu dużą i mocną siatkę wypełnioną czymś bardzo ciężkim, rozpychającym boki do granic wytrzymałości. Po багаż

sięgnął również Dariusz S., były kulturalista, a później trener i nauczyciel wufu. Obydwaj panowie zniknęli w bramie.

Policjanci podeszli do drzwi mieszkania, które Dariusz S. podnajął młodej kobiecie.

— Policja, otwierać! — zawołał jeden z funkcjonariuszy. Drzwi zostały natychmiast odryglowane. Dariusza S. oraz Włodzimierza Z. błyskawicznie

którym przygotowywano jakąś handlową ofertę dla nie znanych jeszcze odbiorców.

Policjanci znaleźli w mieszkaniu Dariusza S. prawdziwy arsenał najprzeróżniejszej broni: uznany dotychczas za jeden z najlepszych w świecie izraelski pistolet Jericho, amerykański rewolwer Magnum kaliber 44, nazywany potocznie „ręcznym działkiem przeciwpancernym”. Resztę stanowiły prawie

sów znalazły się również pięciopistołowa, rodem z Dzikiego Zachodu, strzelba Maverick oraz czterolufowy pistolet HGS. Okazem specjalnym była walizka snajpera, pokazywana kiedyś bliżej w filmie „Dzień szakała”.

Prawie do wszystkich jednostek broni (poza miniaturową) można było dopasować tłumiki, zgromadzone w odrębnej torbie. O możliwości natychmiastowego użycia broni świadczyły tysią-

TAJNE ARSENAŁY

powałono na podłogę i obszukano. Nie mieli przy sobie broni. Natomiast prawie w zasięgu ich rąk, pod ścianami obydwu pokoi znajdował się spory arsenał. Wszystkie jednostki automatycznych pistoletów umieszczone były w siatkach, takich, jakie nieco wcześniej przywieziono furgonem.

Ten przebogaty pod względem typów zbiór przypominał magazyn, w

wszystkie zachodnie modele broni krótkiej, od maleńkich tzw. damskich pistolecików i rewolwerów poprzez popularne wśród naszych przestępców czeskie pistolety CZ, aż do rosyjskiego Nagana. Były też jednostki nieporównywalne, jak North American — rewolwer, czy broń produkcji niemieckiej firmy Erma—Verke oraz amerykańskie Mini—Mastersy. Wśród curio-

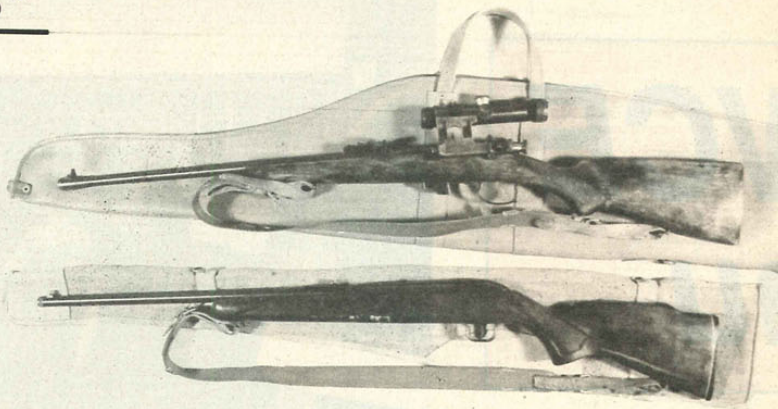
ce sztuk amunicji. Mieszkanie przy ul. Sienkiewicza mogło też służyć w każdej chwili jako pełnowartościowa rusznikarnia. Znajdowało się w nim bowiem mnóstwo części zamiennych do pistoletów i rewolwerów, a także specjalistyczny sprzęt, m.in. wiertarki do rozwiercania luf.

Podczas przenoszenia tej broni do stojącego na ulicy furgonu, trwała likwidacja dwóch innych, usytuowanych na terenie Łodzi arsenałów. W mieszkaniu szwagierki Włodzimierza Z. przy ul. Gorkiego znaleziono dwadzieścia pięć rewolwerów i pistoletów.

— Włodek dał mi je na przechowanie — oznajmiła szwagierka. — Nie wiedziałam nawet, co jest w tych torbach.

Trzecim arsenałem, urządzonym nieco na peryferiach Łodzi, była piwnica należąca do sierżanta policji z KRP Łódź—Śródmieście. Właścicielem pistoletu Walther, worków amunicji, granatów ppanc. i nasadkowych oraz dużych porcji dynamitu i trotylu był sam pan policjant.

Znaleziono jeszcze czwarty schowek. W lokalu rusznikarza Sławomira Sz. ukryte były: automatyczny pistolet marki Nateba, produkcji włoskiej, rewolwer marki Reck oraz kbk. Przypuszczalnie broń ta należała do Dariusza S. i Włodzimierza Z. Podobnie jak broń ukrywana przez sierżanta policji.



Domniemani właściciele wszystkich odkrytych w łodzi arsenałów: Dariusz S. i Włodzimierz Z., z wyglądu pasują raczej do grupy współczesnych polskich biznesmenów. Dotychczasowe ustalenia operacyjno-śledcze wskazują na to, że obydwaj panowie trudnili się nielegalnym handlem bronią na terenie kraju oraz jej przemytem. Głównie do Niemiec, skąd nadeszły pierwsze sygnały za pośrednictwem polskiego Krajowego Biura Interpolu. Funkcjonariusze policji niemieckiej poinformowali, że w ich rozpracowaniach przeciwko zorganizowanym tureckim grupom przestępczym „wychodzą” dwaj Polacy rodem z Łodzi. Wspólnie z Turkami mieli oni rzekomo dokonać napadu na fabrykę broni w Niemczech i wywieźć z niej, a następnie ukryć, tysiące pistoletów.

Łodzianami zajęli się funkcjonariusze WOR KWP. Ustalono miejsca ich zamieszkania, podjęto obserwację. Obydwaj panowie poznali się na terenie Niemiec. Łączyły ich wspólne zainteresowania, a przede wszystkim intratny handel bronią. Inicjatorem i potentatem spółki był Włodzimierz Z., mężczyzna po trzydziestce, elegancki, kulturalny, wykształcony, znający języki obce, a przede wszystkim niemiecki. Dariusz S. ustępuje koledze poziomem intelektualnym, ale góruje nad nim sprytem, odwagą i siłą fizyczną.

W śledztwie „rzną głupoli”, twierdząc, iż nie wiedzą, skąd się ta broń u nich wzięła. Nawet nie wiedzieli, co przywieźli furgonem do mieszkania przy ul. Sienkiewicza. Dariusz S. sugeruje, że to ta pani, której wynajął mieszkanie, weszła do jakiejś przestępczej grupy handlarzy bronią i udostępniła im lokal.

Na wniosek policji prokurator wydał nakaz aresztowania Dariusza S., Włodzimierza Z. i sierżanta policji.

Tej ciekawej sprawie dodaje pikanterii jeszcze jeden fakt.

Otóż w furgonie, którym Włodzimierz Z. przyjechał na ul. Sienkiewicza, policjanci znaleźli... zezwolenie na handel bronią, wydane przez legalny organ! Bada się autentyczność tego dokumentu.

EDWARD NOWAK

ZABAWA na cmentarzu

Nie tak dawno głośna była sprawa zdewastowania cmentarza w Brzegu Opolskim. Niezależnie od pobudek, jakimi kierowali się sprawcy — czy byli to neofaszyści, sataniści, czy szukająca „rozrywki” młodzież — tego rodzaju czyny są w jednakiej mierze odrażające i godne potępienia.

Kolejny akt wandalizmu miał miejsce 30 kwietnia br. na cmentarzu komunalnym w Krośnie.

O godz. 14.50 dyżurny miejscowej KRP został poinformowany przez Krzysztofa B., współwłaściciela spółki „Memento”, zajmującej się pochówkiem zmarłych i opiekującą się cmentarzem komunalnym przy ul. Kardynała S. Wyszyńskiego w Krośnie, że prawdopodobnie w nocy, nieznani sprawcy zdewastowali wiele grobów. Na miejsce zdarzenia wysłano grupę operacyjno-dochodzeniową w celu sprawdzenia informacji i zabezpieczenia śladów.

Ustalono, że w nocy z piątku na sobotę (29/30 kwietnia 1994 r.) kilkusobowa grupa chuliganów przechodząc cmentarną aleją zniszczyła krzyże nagrobne, tablice z napisami i połamała drewniane ławki. Krzyże były wyrwane z ziemi, obalone i potłuczone, jeden z krzyży został wyrwany i ustawiony w odwrotnym położeniu, co sugerować mogło, że sprawcami byli sataniści. Potłuczono lub uszkodzono zabytkowe figury i krzyże wyrzeźbione w piaskowcu. Straty materialne są duże, trudniej określić wielkość strat moralnych.

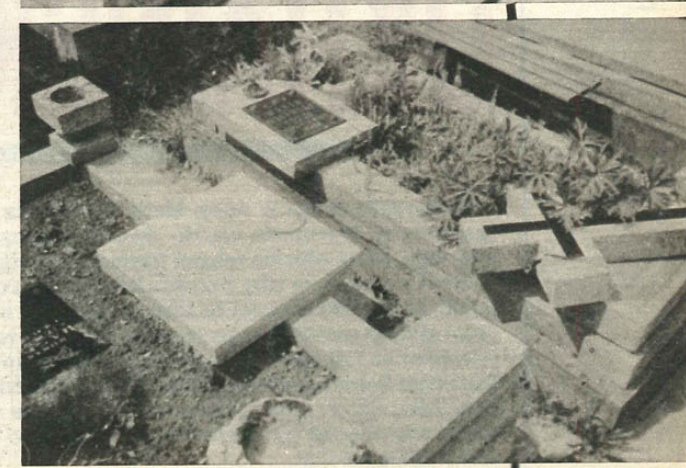
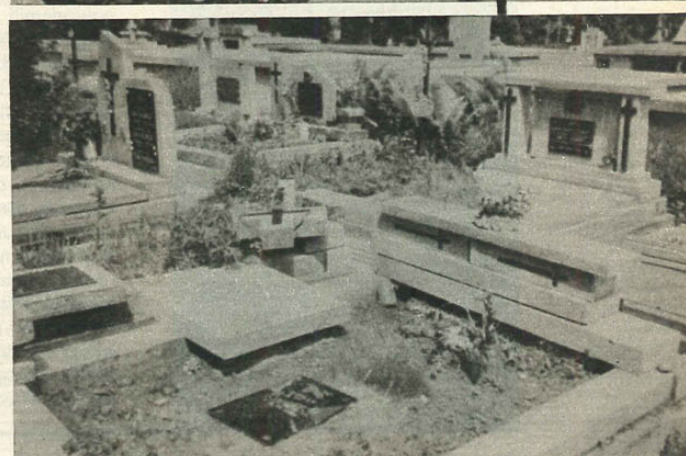
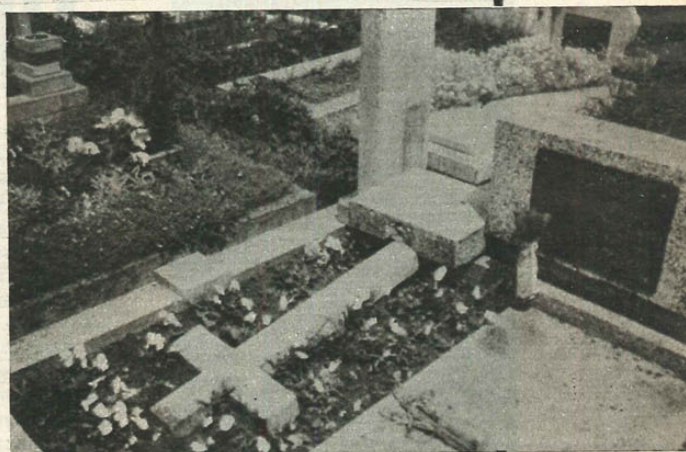
Grupa operacyjna w toku szczegółowych oględzin ustaliła, że sprawcy weszli na teren cmentarza przez płot, z jednego z grobowców zerwali betonowe kule i ciskali nimi w nagrobki. W ten sposób zniszczyli około 30 grobów. Niestety, chuligani, nie pozostawili żadnych śladów, które pozwoliłyby ich zidentyfikować. Rozpytywanie osób mieszkających w pobliżu cmentarza i pracujących na nim nie dało żadnych efektów.

W piątek, 30 kwietnia, do godz. 17.00 na cmentarzu prowadzili prace porządkowe robotnicy spółki „Memento”, którzy jednak niczego podejrzanego nie zauważyli. Do 17 maja br. przesłuchano łącznie prawie 30 świadków, w tym osoby prywatne, opiekujące się grobami, które uszkodzono, ale nie uzyskano żadnych danych na temat ewentualnych sprawców.

Efekty przyniosło rozpoznanie operacyjne. Odrzucono wstępną wersję, że groby zdewastowali sataniści, gdyż nie znaleziono śladów ich obrzędów. Nieocenione okazały się informacje osoby, która miała bezpośrednią styczność ze sprawcami chuligańskiego wybryku. Okazali się nimi 3 uczniowie różnych szkół średnich w Krośnie — Mirosław P., Wiesław W. i Marian M. — wszyscy mają po 16 lat. W trakcie popełniania czynu byli trzeźwi i świadomi tego, co robią. Na pytanie policjantów, co ich skłoniło do niszczenia grobów, nie potrafili dać jednoznacznej odpowiedzi. Ano, spotkali się przypadkowo i postanowili spacerować po cmentarzu. W pewnym momencie Marian P. oparł się na krzyżu i popchnął go. Wieśkowi i Mirkowi zabawa się spodobała, więc poszli w ślady kolegi...

Ponieważ wszyscy trzej uczniowie nie byli dotychczas karani, zastosowano wobec nich najdotkliwszą z możliwych w takiej sytuacji kar — nadzór kuratora ds. nieletnich. Gdyby sprawcy powyżej 17 lat — odpowiadałoby przed sądem powszechnym za uszkodzenie mienia i znieważenie miejsca pochówku zmarłych, tj. za przestępstwa z art. 212 i 197 k.k.

WALDEMAR GAJEWSKI
zdj. autor



Lędziny. Niewielkie miasteczko pod Tychami. Zadbane, ciche, bezpieczne. A jednak właśnie tutaj, 12 czerwca 1993 roku zginęła okrutnie zamordowana 17-letnia Magdalena Sz. Dopiero prawie rok później, 17 czerwca, tyskiej policji udało się ująć zabójcę. Paradoks tego losu sprawił, że dziewczyna zginęła z ręki człowieka, który tamtej czerwcowej soboty zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Zginęła także dlatego, że była posłuszna i obowiązkowa. Gdyby zlekceważyła polecenia przybranych rodziców, że ma wrócić do domu na 22.00, gdyby poczekała na koleżanki i przybranego brata, gdyby nie wyszła sama z dyskoteki... Gdyby, gdyby, gdyby...

MIŁOŚĆ OD PIERWSZEGO

Magdę okrutnie doświadczył los, jeszcze gdy była dzieckiem. Jej rodzice, zaproszeni na komunię uroczystość zginęli w aucie staranowanym przez ciężarówkę, w chwili gdy wyjeżdżali z przykościelnego placu. Ona przeżyła. Przyjęła ją za swoją i wychowała ciocia, siostra matki. Dziewczyna wyrosła na ładną blondynkę. Kończyła właśnie drugą klasę w Zespole Szkół Ekonomicznych i cieszyła się nadchodzącymi wakacjami.

13 czerwca przybrani rodzice powiadomili policję o zaginięciu Magdaleny. Wiadomo, że była na dyskotekę w kawiarni „Basia”, choć powiedziała, że wybiera się do koleżanki. Obiecała, że wróci o umówionej porze. Rodzice trzymali ją i własnego syna Arkadiusza krótko, nie znosili, gdy dzieciaki opóźniały swe powroty do domu.

Arkadiusz też był na dyskotekę. W przeciwieństwie do siostry miał na to zgodę rodziców. Widział, jak Magdalena bawiła się w grupie znajomych, ale nie zauważył, kiedy wyszła. Prowadzone rutynowo poszukiwania zaginionej trwały do 22 czerwca. Wtedy to kierowca ciężar-

ówki zmierzającej do dzikiego, ukrytego w lesie wysypiska ujrzał ludzką rękę wystającą z pryzmy ziemi.

Po rozkopaniu... rozpoznano zwłoki Magdy. Mimo zaawansowanego rozkładu ustalono przyczynę śmierci — złamanie podstawy czaszki. Miała także zmiażdżoną twarz i złamaną szczękę. Nie została zgwałcona. Nie przepadł ani jeden ze złotych pierścionków, które miała na palcach. Odpadł zatem tak seksualny, jak i rabunkowy motyw potwornej zbrodni. Cóż więc chciał osiągnąć zabójca?

Pytanie to przez długie miesiące zadawali sobie podwładni podkom. Janusza Sojki z tyskiego wydziału operacyjno-rozpoznawczego. Najpierw żmudnie ustalali listę osób, które w tamtą sobotę bawiły się w „Basi”. Uzbierała się ponad setka dyskotekowiczów. Teraz trzeba było ich wszystkich przesłuchać, potworzyć wersje przedmiotowe i osobowe, poustalać alibi figurantów. Działania komplikował fakt, że w miejscu znalezienia zwłok dziewczyny nie natrafiono na najmniejszy przedmiot, mogący

zidentyfikować przestępcę. Nikt też nie widział, by z kimś wychodziła.

28 grudnia 1993 roku śledztwo umorzono z powodu niewykrycia sprawcy. Ale rozpracowanie operacyjne toczyło się nadal. W pewnej chwili znaleziono punkt zaczepienia. W ręce policji trafił drobny złodziejask, który nocą, gdy zginęła Magdalena, szwendał się po lesie nie opodal dyskoteki. Był na tzw. niepowrocie do ZK i czekał na sposobną chwilę, by pod osłoną ciemności przeszwarcować się do konkubiny. Zeznał, że w starej przepompowni widział człowieka, który najprawdopodobniej zgładził dziewczynę.

Tak dotarło do Piotra M., który dwa lata temu przywędrował na Śląsk spod Chelma. Zatrudnił się w kopalni, mieszkał w domu górnika w Lędzinach. W feralną niedzielę nudziło mu się w pustym hotelu. Kumpel wyprawił się na włamanie do kiosków, a Piotrek siedział, wychylając od czasu do czasu fikołka. Wreszcie wpadł na pomysł, by pójść na dyskotekę. Uroda Magdaleny, a zwłaszcza jej złociste włosy

KŁÓTNIA po UKRAIŃSKU

Dochodziła druga w nocy, kiedy do szpitala przy ulicy Szaserów w Warszawie weszło dwóch mężczyzn, niosąc trzeciego, który obiema rękami trzymał krwawiący brzuch. Zanieśli rannego na izbę przyjęć, łamaną polszczyzną wyjaśnili, że jest Ukraińcem i że został napadnięty na ulicy, po czym szybko wynieśli się ze szpitala. Rannego zabrano natychmiast na stół operacyjny, ponieważ jego stan był ciężki. Rana była bardzo głęboka i długa ponad dwadzieścia centymetrów, tak że jama brzuszna była całkiem otwarta, a część wnętrza na wierzchu. Wyglądało to tak, jakby zrobił sobie harakiri.

Szpital powiadomił policję i parę minut później przyjechali funkcjonariusze z KRP Praga-Południe. Zobaczywszy zaparkowaną przed szpitalem ładę na ukraińskiej rejestracji, w której siedzieli dwaj mężczyźni i dwie kobiety, policjanci podeszli do nich. Wkrótce cała czwórka została przywieziona do komendy, aby złożyć zeznania o przebiegu zdarzenia, które tak tragicznie zakończyło się dla ich kolegi.

Wszyscy byli przesłuchiвани jednocześnie w różnych pokojach. Jak się wkrótce okazało, ich zeznania różniły się istotnymi szczegółami.

Początek wszystkich relacji był taki sam: — całą piątką siedzieli w kawiarni, pili kawę i wino, nagle ich kolega Dymitr wyszedł nie mówiąc dokąd. Kiedy upłynęło około pół godziny, a on nie wracał, jedna z kobiet poszła go szukać. Wyszła z kawiarni i kilkanaście metrów dalej znalazła Dymitra leżącego na ulicy, zakrwawionego, trzymającego się za brzuch.

Zapytana, czy potrafi pokazać miejsce, gdzie znalazła rannego Dymitra, Tatiana oświadczyła, że oczywiście. Wsiadła wraz z policjantami do radiowozu i poprowadziła ich w okolicę kawiarni, o której mówiła. Kilkadziesiąt metrów dalej w pobliżu skrzyżowania wskazała miejsce, gdzie rzekomo

leżał ranny Dymitr. Policjanci bardzo dokładnie obejrzel chodnik i jezdnię, ale nigdzie, w promieniu 100 metrów od wskazanego miejsca nie znaleźli najmniejszego nawet śladu krwi. Tatiana nadal upierała się, że rannego znalazła w tym właśnie miejscu.

Jej kolega, Igor, ogólny przebieg zdarzenia przedstawił podobnie, z tym jednak, że według jego relacji siedzieli w całkiem innej knajpie, prawie kilometr dalej. On również oświadczył, że może pokazać miejsce, gdzie znaleźli rannego Dymitra. Wskazał je całkiem gdzie indziej niż Tatiana, a efekt był taki sam jak w jej przypadku — we wskazanym przez niego miejscu ani w najbliższej okolicy nie znaleziono żadnych śladów krwi.

Pozostałych dwoje płało się w zeznaniach tak dalece, że w ogóle nie można było ustalić, w jakiej knajpie pili, kto znalazł rannego i w jakim miejscu. Wszyscy czworo, podobnie jak ranny Dymitr, przebywali w Polsce od kilku dni i handlowali na Stadionie Dziesięciolecia. Byli tu już nie po raz pierwszy i mieli w Polsce swoich starych znajomych. W trakcie, gdy trwały przesłuchania, oględziny miejsc i konfrontacje niespójnych zeznań przesłuchiwanego czworga świadków, ze szpitala przyszła informacja, że Dymitr zmarł podczas ope-

WEJRZENIA

zrobiły na nim kolosalne wrażenie. „Aż mnie coś ujęło za serce!” — wyzna potem przesłuchującemu go podkom. Józefowi Perkowi.

Zakochany od pierwszego wejrzenia chłopak pił piwo za piwem, nie spuszczał oka z dziewczyny. Usiłował w jakiś sposób przyciągnąć jej wzrok, ale ona pochłonięta zabawą, nie zwracała na niego uwagi. Nagle, gdzieś koło 21.40, Piotrek dostrzegł cień szansy dla siebie. Dziewczyna wyszła na dwór. M. zostawił na stole napoczęte piwo i wybiegł za nią. Dogonił Magdę po kilkudziesięciu krokach. — Hej, cześć, jestem Piotrek — próbował nawiązać znajomość, ale ona nie miała na to ochoty. Przypieszyła kroku i rzuciła krótkie: — Odwal się, gorolu!

Ta obelga zburzyła spokój chłopaka. Złapał Magdę za dłonie, by za moment odepchnąć gwałtownie od siebie. Magda upadła uderzając głową o betonowe płyty chodnika. Nie ruszała się. Ale on nie poprzestał zemsty, chwycił w obie ręce ja-

kiś kawał gruzu, klęknął przy dziewczynie i z całej siły uderzył w twarz, raz, potem drugi...

Dalej nie bardzo pamięta, co się z nim działo. Niósł i włókł dziewczynę na przemian kilkaset metrów, gdzieś po lesie. Przydała się krzepa wyrobiona podczas podziemnego dźwigania „ringów”. Wiedział, że zagrzebywał ciało dziewczyny, ale nie chciał pokazać gdzie. — Nie zmusicie mnie, bym poszedł w to miejsce — mówił podczas wizji.

Po zabójstwie chyłkiem przemknął do hotelu. Kolegi jeszcze nie było, zdjął więc zakrawione ubranie, wyrzucił je do śmietnika, dobrze zagrzebując w śmieci, wykąpał się i zasnął. Parę dni później, przesłuchiwany jako świadek, odpowiadał spokojnie, że nic nie wie o losie Magdaleny. Prokurator przedstawił mu zarzut popełnienia czynu opisanego w artykule 148 § 1 kodeksu karnego.

ADAM K. PODGÓRSKI

racji. Usłyszawszy tę wiadomość jeden z jego kolegów załamał się i oświadczył, że powie, jak to naprawdę było...

Okazało się, że tego wieczora cała piątka była zaproszona do znajomych, również Ukraińców, wynajmujących willę w Wesołej, na pieczenie kiełbasek przy ognisku. Na imprezie było kilkanaście osób, niektórych znali z widzenia, innych widzieli po raz pierwszy. Pili sporo wódki, bawili się. W pewnej chwili Igor zauważył, że jego kolega Dymitr kłóci się z Saszą, współgospodarzem willi. Od słów doszło do rękoczynów i szarpnięć się i bijąc obaj mężczyźni wyszli aż za furtkę. Z odległości kilkunastu metrów Igor widział, jak Sasza wyciągnął bagnet i wsadził go w brzuch jego koledze. Dymitr zaczął krzyczeć, krew się lała, ktoś chciał wezwać pogotowie. Gospodarze nie pozwolili, więc koledzy Dymitra wsadzili go do swojego samochodu i zawieźli do szpitala.

Po wysłuchaniu tej historii policja postanowiła zatrzymać Saszę. Ponieważ można było się spodziewać, że lokatorzy willi są uzbrojeni, zatrzymania musiała dokonać brygada antyterrorystyczna. Akcja przebiegła szybko i sprawnie.

Sasza nie stawiał oporu, nie był też uzbrojony. W czasie przesłuchania zaprzeczał, jakoby to on zranił bagnetem Dymitra. Willę przeszukano bardzo dokładnie, ale bagnetu nie znaleziono. Ponieważ jednak świadkowie bez żadnych wątpliwości wskazywali na Saszę jako sprawcę, prokurator zastosował wobec niego areszt.

I oto kilka dni później sprawę Saszy wziął w swoje ręce jeden ze znanych adwokatów, broniący między innymi członków słynnej mafii pruszkowskiej. Przedstawił prokuratorowi innych świadków zdarzenia, którzy wskazywali... innego sprawcę śmiertelnego zranienia Dymitra. Konfrontacja tak rozbieżnych zeznań świadków była już jednak niemożliwa, ponieważ Igor, Tatiana i pozostali dwójce Ukraińców wyjechali już z Polski. Sasza został podobno zwolniony za kaucją i też będzie mógł wkrótce wrócić do domu. Został tylko trup 30-letniego mężczyzny i nie wyjaśniona sprawa.

ELŻBIETA SITEK

● N'DRANGHETA — ROZCZŁONKOWANA

Włoska policja przeprowadziła szeroko zakrojoną operację przeciwko mafii w północnej części kraju. Wydano 370 nakazów aresztowania, w tym dwa dotyczące włoskich karabinierów. Chociaż dokładnej liczby aresztowań policja nie podała, tamtejsza prasa donosi o dziesiątkach ujętych mafiosów w miastach Como, Varese, Brescia oraz w Mediolanie, podejrzanych o handel narkotykami, bronią, a nawet o zabójstwa. W operacji wzięło udział ponad 2000 policjantów, którzy przeszukali około 500 mieszkań i innych nieruchomości należących do mafijnych rodzin, rekrutując dużą ilość broni. „Była to największa operacja antymafijna w ostatnich dziesięciu latach — oświadczył włoski minister spraw wewnętrznych Roberto Maroni. Kalabryjska mafia — N'Drangheta, została rozczłonkowana” — podkreślił minister.

● WPADKA KOLUMBIJSKIEGO BOSSA W BRAZYLII

Brazylijska policja federalna aresztowała Vicente Riviera Ramosa, jednego z szefów kolumbijskiego kartelu narkotykowego z Cali na terenie Brazylii. Ramos został ujęty po strzelaninie w pobliżu miasta Guarai, oddalonego o tysiąc km na północ od stolicy tego kraju. 30-letni Vicente Riviera Ramos jest synem słynnego szefa kartelu z Cali, Vicente Riviera Gonzaleza, wyspecjalizowanego w przemyśle kokainy samolotami turystycznymi z Kolumbii do Brazylii. Aresztowanemu synowi kolumbijskiego „króla” kokainowego grozi kara 40 lat więzienia w Holandii, gdzie jest ścigany za handel narkotykami.

● AGENT FBI HANDLARZEM NARKOTYKAMI

Federalne Biuro Śledcze aresztowało jednego ze swoich funkcjonariuszy, przekazując go do



dyspozycji amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości. 33-letni Kenneth Withers oskarżony został o usiłowanie sprzedaży 45 kg heroiny. Jeżeli sąd uzna go za winnego nielegalnego handlu narkotykami, grozi mu kara do 10 lat pozbawienia wolności.

● BANKIER „PIERZE” NARKODOLARY

Wiceprezydent „American Express Bank Internationale” w Miami na Florydzie 37-letni Antonio Giraldi postawiony został w stan oskarżenia pod zarzutem „wyprania” 30 milionów dolarów jednemu z potężnych karteli handlu narkotykami w Meksyku.

● HASZYSZ JAKO BALAST

9,5 tony haszyszu, wartości około 380 mln franków, przechwycili celnicy we francuskim porcie Brest. Narkotyk pochodzący z Maroka ukryty był pod balastem i pod podłogą holownika „B. Vandamme”. Aresztowano czterech marynarzy spośród załogi.

● SUROWE PRAWO

Prezydent Iraku Saddam Hussein podpisał dekret przewidujący odcięcie prawej ręki złodziejom, a w stosunku do recydywistów — jednej z nóg, doniosła oficjalna agencja — INA. Osoby uznane sądownie za winne kradzieży z bronią w ręku podlegać będą karze śmierci.

oprac. MARIAN OWCZAREK

Po psach przyszedł czas na policyjne świnie. Nic nadzwyczajnego: te dwa czworonożne tłuste zwierzątka pochodzenia wietnamskiego, nazwane Bubba i Prisy, potrafią przeszukać każdy zakątek. Dzięki wyjątkowo zaostrzonemu węchowi już dziś są w stanie — po krótkim przeszkoleniu — wyszukać najmniejszą ilość narkotyku, ukrytego w jakimkolwiek bagażu. Victor Smith, szeryf z Gulfport, w stanie Missouri, jest bardzo zadowolony z ich służby.



23 czerwca wiatr uderzył niemal z siłą huraganu. Wieczorem w głównym wydaniu wiadomości TV informowano o przerwanych trąbkach elektrycznych, połamanych drzewach. Nie padło jednak bodaj słowo o Zalewie Zegrzyńskim, gdzie tego dnia śmierć w wodzie znalazłoby wiele osób.



WYSOKA FALA

— 28 czerwca rano pogoda była słoneczna — opowiada sierż. Zbigniew Kaczyński z komisariatu w Nieporęcie. — Po południu aura uległa gwałtownej zmianie. Około godziny czternastej otrzymaliśmy pierwszy sygnał o wywrotkach żaglówek i ludziach oczekujących pomocy.

Policyjna motorówka z rykiem silnika ślizga się po wodzie. Kiedy przeskakujemy nad falami, odnoszę wrażenie, że trzymamy dno o pofałdowaną blachę. Teraz jest pięknie i słonecznie. Wówczas zaś...

— Woda jest najlepszym barometrem prognozującym nadchodzący stan pogody — włącza się do rozmowy zastępca komendanta komisariatu kom. Marek Strzelczyk. — W ciągu niespełna pół godziny wody Zalewu Zegrzyńskiego z błękitnych stały się niemal sine. Te wkrótce rozchybotał wiatr wiejący z prędkością co najmniej 5 w skali Beauforta.

Nie opodał miejscowości Rynia wywrócona żaglówka typ BEZ-4 kołysała się do góry dnem. Wokół

niej pływały cztery osoby w wieku od 15 do 19 lat. W chwili wywrotki tylko dwójka najstarszych żeglarzy zdążyła wciągnąć na siebie kapoki. Pozostałym nie starczyło na to czasu. Początkowo wszyscy krążyli wokół łodzi, trzymając się jej burt. Wzywali pomocy. Kilkadziesiąt metrów dalej na deskach windsurfingowych pływało kilku adeptów pobliskiej szkółki wodnej. Żaden z nich nie zareagował.

Temperatura wody była niska. Ziębnięta i wystraszona czwórka młodych ludzi postanowiła płynąć do brzegu. To był ich błąd. Po odpłynięciu kilkudziesięciu metrów 15-letnia dziewczyna zniknęła pod wodą. Nie było najmniejszej szansy, by pospieszyć jej na ratunek, gdyż wysoka fala rozrzucała rozbitków. Wówczas pojawiła się łódź policyjna.

— Początkowo nie bardzo wiedziałem, jak mogę podjąć ich z wody — wspomina sierż. Zbigniew Kaczyński. — Byłem sam na motorówce. Z jednej strony musiałem uważać na łódź, która przy nieprzemyślanym manewrze mogła

W roku ubiegłym w obrębie akwenów woj. stołecznego 24 osoby utonęły, 6 z nich to ofiary kąpeli w miejscach nie strzeżonych. Natomiast 5 osób utonęło w wyniku wywrotek łodzi żeglarskich.

W roku bieżącym do momentu oddawania materiału do druku w nurtach Wisły znalazło śmierć 9 osób. Wyłowiono 2 osoby, w 6 przypadkach udzielono pomocy (holowanie do portu).

zostać odwrócona do góry dnem. Zarazem chciałem jak najszybciej wciągnąć rozbitków, którzy trzymali się mojej burty resztkami sił.

Policjantowi z pomocą przybył na drugiej motorówce nadkom. Tadeusz Zygmunt, komendant komisariatu w Nieporęcie, który asekurując kolegę pomógł mu dopłynąć z rozbitkami do policyjnego portu.

Powracający z akcji ratowniczej patrol dostrzegł w rejonie Białobrzegów drugą tonącą łódź, której kurczowo trzymali się chłopak z dziewczyną. Jeszcze tego samego dnia funkcjonariusze dostrzegli kolejną wywrotkę i wyłowili

17-letnią dziewczynę i jej ojca.

W sumie tamtego dnia uratowano życie siedmiu osobom. Ośma, niestety, utonęła.

— Jest to wina — stwierdza nadkom. Tadeusz Zygmunt — niefrasobliwości żeglujących i pływaków. Zmieniająca się pogoda jest wystarczającym ostrzeżeniem, by przerwać relaks i kierować się w stronę portu lub brzegu.

W efekcie — uzupełnijmy wypowiedź komendanta — tacy żeglarze swą niefrasobliwością narażają nie tylko siebie, lecz także życie spieszących na ratunek policjantów, których sprzęt, co tu kryć, nie jest przystosowany do pływania po zalewie w sztormową pogodę.

PAWEŁ SZLACHETKO
zdjęcia autor
i P. Kacak

PS Tego samego dnia z nurtów Wisły policjanci "stołecznego komisariatu rzeczno" wyłowili trzech pijanych mężczyzn, którzy mieli ochotę popłynąć. Pomoc przybyła w ostatniej chwili...

EKSCESY NAD WODĄ

Do siedzących nad brzegiem Świdra, na terenie podwarszawskiego Józefowa, dwóch siedemnastolatków Jacka U. i Ireneusza P. podeszła grupa młodych ludzi. Otoczyli półkolem obu licealistów i zażądali pieniędzy „na flaszkę”. Spotkawszy się z odmową zaatakowali ich. Ireneuszowi udało się wyrwać, rzucił się do ucieczki. Po przebiegnięciu kilkudziesięciu metrów dopadło go trzech napastników. Chłopak został powalony i skopany. Przeglądali się temu licznie zgromadzeni na plaży ludzie. Nikt nie interweniował. Ktoś powiedział „bandziory”, ktoś inny skomentował wydarzenie słowem „porachunki”. Napastnicy zabrali swojej ofierze pieniądze. Licealista miał przy sobie 125 tys. zł. Ściągnęli mu również buty adidasy i zegarek. Jacek stracił 40 tysięcy. Kiedy grupa agresywnych młodzianów oddaliła się, obaj poszkodowani ruszyli w stronę odległego o kilka kilometrów komisariatu Policji w Józefowie. Posiniaczony Ireneusz musiał pokonać tę trasę w skarpetkach.

Po złożeniu meldunku o napadzie zostali zaproszeni do radiowozu i w towarzystwie trzech funkcjonariuszy powrócili nad Świder. Po półgodzinnej przechadzce brzegiem rzeki chłopcy ujrzeli znajome, wygrzewające się na słońcu postacie, obok których leżało kilka opróżnionych butelek po tanim winie. Na widok swoich ofiar idących w towarzystwie policjantów młodzieńcy rzucili się do ucieczki. Funkcjonariusze ruszyli w pościg. Dwóch z uciekających udało się zatrzymać. Na miejscu, które przed chwilą opuścili w pośpiechu, leżały buty Ireneusza. Jeden z ujętych miał przy sobie zegarek, który 17-letni uczeń rozpoznał jako swój. Obaj napastnicy byli mieszkańcami pobliskiego Otwocka, zostali przewiezieni do komisariatu, wkrótce stanęli przed obliczem prokuratora, który wobec obu zatrzymanych zastosował dozór (był to ich pierwszy tego rodzaju „popis”).

Nad położonym niedaleko od Świdra malowniczym jeziorem tacha, pewnego letniego wieczora grupa studentów i studentek Politechniki Warszawskiej urządziła sobie piknik. Rozpalili ognisko i piekli nad nim kielbaski. Aby nie było zbyt „sucho” posiłek popijali piwem. Po kilku godzinach wesołej zabawy przy ich ognisku pojawili się niespodziewani goście. Byli to przedstawiciele miejscowej młodzieży w liczbie piętnastu zuchów. Najpierw zapytali grzecznie, czy mogą się przysiąść, a potem poprosili o poczęstowanie wódką. Wódki jednak studenci nie mieli, a piwo już się skończyło. Miejscowi, którzy mieli przewagę liczebną nad warszawskimi żakami, postanowili wyegzekwować swoją „prośbę” siłą. Najpierw padły słowa: — Nie chcecie dać na butelkę, wy s...syny?! — po chwili poszły w ruch pięści. Po niezbyt długiej bójce studenci zostali zmuszeni do oddania wszystkich swoich pieniędzy. W trakcie walki dwóm dziewczynom i jednemu chłopakowi udało się uciec.

Dotarli do józefowskiego komisariatu. Policjanci nie tracili czasu. Przed nocnym sklepem z alkoholem położonym na peryferiach Józefowa poszkodowani rozpoznali kilku napastników. Ci, oczywiście, próbowali natychmiast rejterować. Czterech z nich udowodniło, że biegają słabiej niż funkcjonariusze. Jeden z nich padając rozbił butelkę z wódką. Zostali zatrzymani, stanęli przed sądem dla nieletnich.

Innym razem do moczącego wędki w nurcie tacy Emila K. z Otwocka podeszedł nieznajomy, młody mężczyzna. Przez chwilę bez słowa przyglądał się rybakowi. — Biorą? — zapytał w końcu, po czym zbliżył się, wyciągając szyję jakby chciał dokładniej przyjrzeć się spławikowi. Zanim Emil K. zdążył zorientować się, co się dzieje, został brutalnie wepchnięty do jeziora. Wędkarz zachłysnął się wodą. Kiedy wynurzył się prychając i rozpaczliwie bijąc rękoma powierzchnię wody, nieznajomy zniknął, a wraz z nim wędka wraz z czerpakiem, a także rower.

— To prawda, że w sezonie letnim mamy najwięcej pracy, a ludzi nam brakuje — powiedziała mi „szefowa” Komisariatu Policji w Józefowie kom. Zofia Szczepielek. — Nad taczę oraz nad Świder zjeżdża wielu warszawiaków, którzy stanowią łatwy kąsek dla naszej „złotej” młodzieży. Najgorsze pod tym względem są soboty i niedziele.

— Co się dzieje w weekendy?

— Nagminne są włamania do samochodów oraz kradzieże pojazdów. Ludzie są lekkomyślni i często zostawiają w autach cenne przedmioty lub pieniądze. Pewien mężczyzna z Warszawy zostawił w trabancie teczkę z dokumentami służbowymi oraz 50 milionów złotych. Sam poszedł się kąpać. Po powrocie okazało się, że teczka zniknęła, a na pamiętkę pozostało na siedzeniu szkło z rozbitej szyby. Innym razem przyjechali nad Świder polonezem starsi państwo. Przybyli aż z Siedlec, żeby pospacerować po józefowskich lasach. Kiedy już się dotlenili i nasylili przechadzką, przeżyli szok, gdy stwierdzili, iż miejsce na leśnym parkingu, na którym stał ich polonez, jest puste.

— Gdzie najczęściej następują kradzieże samochodów i włamania do nich?

— Na dwóch parkingach nad Świdrem: leśnym, w pobliżu Miejskiego Ośrodka Sportu i Rekreacji (interesujemy się tym ośrodkiem ze względu na mieszkających tam Ukraińców i Rosjan, których dyrekcja obiektu nie ma zwyczaju zgłaszać do zameldowania) oraz w pobliżu ul. Nadwiślańskiej przed hotelem „Pod Dębami”. Dziwne, że ilekroć zdarzają się tam kradzieże, portier i ochroniarze nic „nie widzą”. Nad taczę tego rodzaju przestępstw jest mniej, gdyż można tam dojechać nad sam brzeg jeziora i mieć pojazd praktycznie przez cały czas na oku, co nad Świdrem jest niemożliwe. Od parkingu „Pod Dębami” jest nad rzekę kilkaset metrów. Kiedyś plaża ta słynęła ze spotkań naturystów. Mieli zwyczaj zostawiać ubrania w samocho-



dach. Bywało, że po powrocie stwierdzali kradzież ubrań. I pozostawiali w strojach Adama i Ewy.

Rolnik mieszkający w pobliżu tacy Andrzej J. opowiedział mi następującą historię. Słonecznego przedpołudnia przyszło do niego kilku mężczyzn i poprosiło o pomoc w wyciągnięciu z jeziora dwóch samochodów, małego fiata i poloneza. Okazało się, że poprzedniego wieczora przybyła nad jezioro grupa wesołej młodzieży, aby się wykąpać w blasku księżyca. Ponieważ blask księżyca, ich zdaniem, był za słaby, postanowili zwiększyć oświetlenie. Jeden z chłopaków podjechał nad brzeg maluchem i zostawił go na ręcznym hamulcu z włączonymi reflektorami. Po jakimś czasie wsiadła do niego dziewczyna, aby się nieco rozgrzać. Niechący trąciłą dźwięnie nie w pełni sprawnego hamulca. Wyskoczyła z piskiem, gdy samochód stoczył się do wody i z otwartymi drzwiami i oknami zniknął pod powierzchnią. Próbowali wydobyć go za pomocą poloneza. Dwóch odważnych zanurkowało i zaczęło linkę o hak holowniczy w zatopionym pojeździe. Była jed-

nak za krótka. Polonez musiał podjechać nad samą krawędź skarpy brzegowej. W trakcie próby wyłowienia skarpa załamała się, koła straciły przyczepność i maluch pociągnął za sobą poloneza. Kierowca omaal nie zatonął razem z pojazdem, gdyż miał trudności z wydestaniem się z niego.

Oba auta wydobył w końcu Andrzej J. za pomocą traktora. I tak trwało to aż pół dnia, gdyż stojące na dnie na głębokości około 2 metrów samochody stawiały opór. Woda mocno trzymała, kolejne linki pękały, ale w końcu udało się. Tymczasem przybył nad jezioro właściciel zatopionego poloneza, który pożyczył samochód na tę jedną noc swojemu synowi. Ze stoickim spokojem obserwował wysiłki traktora, a potem, gdy ociekający wodą pojazd stał już na suchym lądzie, powiedział do Andrzeja J.:

— No to już się gówniarz najeździł. Prześiądzie się teraz na hulajnogę.

PIOTR KITRASIEWICZ
zdj. autor



Stara kobieta leżała na półpiętrze u podnóża schodów prowadzących na poddasze. Na wpół przymknięte oczy martwo wpatrywały się w odrapaną ścianę. Obok ciała wały się laska i rozbita pusta butelka na mleko, która wypadła z plastikowej torby. Młody, wysoki mężczyzna w lekarskim fartuchu i przybrudzonych adidasach dokonywał oględzin zwłok.

— Złamanie podstawy czaszki — rzucił znużonym głosem do swojego asystenta, który oparty o poręcz miętoszył w ustach nie zapalonego papierosa.

Schody okupowała spora grupa lokatorów kamienicy. Każdy pchał się do przodu, chcąc ujrzeć zwłoki pani Wróblewskiej.

— Wiedziałem, że to się tak skończy — powiedział stojący obok mnie mieszkaniec trzeciego piętra pucował pan Fronczak. — Ona była przecież stara, a te schody są wysokie i strome. Często chodzę po nich wraz z żoną na strych suszyć bieliznę. Kiedyś sam o mało nie spadłem.

Zszedłem na dół i zatrzymałem się przed klatką schodową. Obok samochodu pogotowia ratunkowego pojawił się właśnie policjant radiowóz. Wyśiadło z niego dwóch funkcjonariuszy w mundurach. Energicznym krokiem ruszyli w stronę otwartych, przybłokowanych kamieniem, drzwi klatki schodowej. Poszedłem za nimi. Zalegający schody ludzie przepuszczali ich, po czym ponownie blokowali drogę. Jedni spoglądali na funkcjonariuszy z niechęcią, inni z ciekawością. Rozległ się nowy szmer głosów, ktoś powiedział: „Po co tu oni? Przecież nic się nie stało”.

Nic się nie stało... Zatrzymałem się przy drzwiach do swego mieszkania na pierwszym piętrze. Oparty o framugę słuchałem dochodzących z góry odgłosów. Po kilkunastu minutach klatka schodowa zahuczała od gwaru. Z wielu nakładających się na siebie dźwięków wydobywał się głos: „To nie był wypadek”, a po chwili wielokrotnie powtarzane pojedyncze słowo — „mydło”. Mydło? Jakże mydło?

— Jakiś drań posmarował schody mydłem — powiedział do mojej matki, która stała w drzwiach, schodzący dozorca. — Stara Wróblewska nie miała żadnych szans. Pośliznęła się i już było po niej. Można rzec, że została zamordowana.

Ciarki przeszły mi po plecach. Zbiegłem na dół i stanąłem wraz z grupą dzieciaków na podwórku. Po jakimś czasie nadjechał drugi radiowóz. Tym razem przywiózł trzech mężczyzn w cywilu. Mieli ze sobą jakieś pojemniki i walizeczki.

— Na pewno obrysują jej ciało taką kredą, widziałem w telewizji — odezwał się stojący obok mnie sześciolatek Mariusz, syn taksówkarza z sąsiedniej klatki. Nic nie odpowiedziałem. Zamiast tego, zapytałem go:

— Widziałeś dzisiaj Rocha Kolasa?

Nie widział. Chodziłem wśród chłopaków, obszedłem całe podwórko, ale Rocha nie znalazłem. Zawsze było go wszędzie pełno. Powinien przecież stać w pierwszym rzędzie gapiów i komentować dzisiejsze wydarzenie. Lecz nigdzie go nie było.

Z klatki schodowej wyszli sanitariusze niosąc na noszach zakryte ciało. Za nimi szli policjanci eksperci, na końcu dwaj umundurowani funkcjonariusze.

Jeden z nich rozmawiał długo z dozorcą, a gdy skończył, podszedł do nas, grupy dzieciaków, i zaczął wypytывать. Czy znaliśmy panią Wróblewską, czy coś wiemy na temat jej śmierci i czy znamy kogoś, kto lubi bawić się mydłem? Na każde z pytań każdy z nas tylko pokręcił przeczącą głową. Policjant oddalił się. Stał przy radiowozie i o czymś mówił z kolegą.

Chłopcy rozeszli się niespiesznie, po chwili grali już w piłkę głośno pokrzykując, niektórzy bardzo „niecenzuralne” słowa. Nie przyłączyłem się do nich. Oparty o drzewo zastanawiałem się, co robić. W końcu podjąłem decyzję. Powoli zbliżyłem się do radiowozu, w milczeniu patrzyłem na funkcjonariuszy. Jeden z nich rzucił na mnie szybkie spojrzenie, a ten, który poprzednio nas rozpytywał, odezwał się:

— Czego chcesz, mały? O co chodzi?

Przelknąłem ślinę i powiedziałem zduszonym głosem:

— Ja chyba wiem, kto to zrobił.

W naszej kamienicy bardzo często ktoś umierał. Mniej więcej jedna osoba co trzy, cztery miesiące. Kamienica składała się z pięciu pięter, facjatek i trzech klatek schodowych. Ja mieszkalem na klatce środkowej, a Roch Kolas na lewej. Znaliśmy się od dawna. Często bawiliśmy się razem w różne gry podwórkowe, wspinaliśmy na drzewa albo wspólnie z innymi chłopcami biegaliśmy calymi dniami po naszym i okolicznych podwórkach. Pamiętam dobrze, że Roch zawsze chciał być najlepszy we wszystkim i nigdy nie znośił przegranej. Gdy wspinaliśmy się na drzewa on, oczywiście, musiał wdrapać się najwyżej, chociaż groziło to upadkiem. Podczas gry w piłkę robił wszystko, żeby osobiście strzelić gola nie zawsze stosując metodę fair play i nie podając piłki partnerowi znajdującemu się na lepszej pozycji strzeleckiej. Ilekroć zdarzyło mu się przegrać, twarz jego chmurzyła się i przybierała wyraz dziwnej złości. Pamiętam też dzień, w którym Roch zaproponował mi zakład.

— Ciekaw jestem — powiedział, gdy wracaliśmy we dwóch z pobliskiego salonu gier komputerowych — kto teraz znowu umrze w naszej kamienicy?

— Nie wiem — odrzekłem. — Może pani Śrubkova? Jest poważnie chora od dłuższego czasu.

— Chyba nie. — Roch zamyślił się. — Przedziewa panią Wróblewską z twojej klatki. Ma już osiemdziesiąt lat.

— Głupstwa gadasz — mruknąłem. — Pani Wróblewska, chociaż stara, trzyma się dobrze i nigdy nie zatrzymała się na schodach do swojej facjatek, żeby odpocząć.

— Głupstwa gadam? — zaperzył się Roch. — W takim razie załóżmy się.

— Jak chcesz. Możemy się założyć. Podaliśmy sobie ręce. Ja stawiałem na panią Śrubkova, Roch na panią Wróblewską.

Mijały dni i tygodnie. Byłem pewien, że wygram. Pani Wróblewska cieszyła się znakomitą zdrowiem. Przed laty trzykrotnie wychodziła za mąż i wszystkich mężów pochowała. Tymczasem stan zdrowia pani Śrubkovej pogarszał się nieubłaganie. Powiedziałem o tym Rochowi. Zaciął wąskie wargi, a w jego oczach pojawił się wyraz, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem.

— To było przedwczoraj, panie komisarzu — dodałem.

— Nie jestem komisarzem, lecz aspirantem, synu. Słuchaj, opisz mi swojego kolegę.

— Jest masywnie zbudowany, niskiego wzrostu, sięga mi do ramienia

— mówiłem z namysłem. — Blondyn o krótko ostrzyżonych włosach. Ma szerokie czoło, oczy jasne, niebieskie albo szare, nie wiem dokładnie. Nos lekko zakrzywiony, taki orli. Jest Koziorożcem, ma piętnaście lat.

Policjant zapisywał moje słowa w notatniku, nawet tego Koziorożca. Gdy skończył, odezwał się:

— Dobrze, a teraz podaj mi swoje dane.

— Nazywam się Kornel Sobolewski, proszę pana. Koledzy nazywają mnie „Hamburger”, bo bardzo je lubię. Mieszkam na tej samej klatce schodowej, z której panowie wyszliście, na pierwszym piętrze pod numerem dwudziestym szóstym.

Aspirant zapytał, czy mógłbym zaprowadzić go do mieszkania Rocha. Pewnie, że mogłem. Drzwi otworzył nam stary Kolas, ojciec Rocha, nieprzyjemny facet o wiecznie czerwonym nosie. Powiedział, a raczej wyburczał, że Roch spakował rano swoje rzeczy i wyjechał gdzieś bez słowa. Nie, żadnego listu nie zostawił.

— Znajdziemy go — rzekł policjant, gdy ponownie znaleźliśmy się na podwórku. — Wcześniej czy później na pewno go znajdziemy. To tylko kwestia czasu.

— Niech pan się postara, żeby go szybko złapano — szepnąłem. — Bo jeśli się dowie, że to ja go wydałem, to na pewno tutaj wróci. Żeby mnie zabić.

Minął miesiąc. Rocha nie złapano. Pewnego wieczora, było już po dziesiątej, wracałem samotnie z klubu wideo. Wszedłem do kamienicy i pstryknąłem kontakt. Światło jednak nie zabłysło. Zirytowany nacisnąłem raz jeszcze na przycisk. Perspektywa wejścia po ciemku na pierwsze piętro napędzała mnie niepokojem, gdyż od

dziecka panicznie bałem się ciemności. I wtedy usłyszałem głos:

— Situkłem żarówkę.

W mroku zamajaczył zarys postaci. Serce podskoczyło mi do gardła. Poznałem ten głos i tę postać.

— Cześć Roch — powiedziałem siłą się na spokój. — Wygrałeś zakład, gratuluje.

— Ty przekłety bękarcie — usłyszałem w odpowiedzi. — Wydałeś mnie, synpaleś swojego najlepszego kumpla. Całe podwórko widziało, jak prowadziłeś gliniarza do mojego mieszkania. Gdybym tam był, zgarnęliby mnie. Czy wiesz, jak wygląda taka gnida przyszpilona do ściany dobrym, rosyjskim bagnetem?

Rzuciłem się na schody. Tuż za mną rozległ się przeciągły grzyzt brzdącego ścianę ostrza. Bagnet minął się z moją szyją zaledwie o włos. Pędziłem pod górę, a on był tuż za mną. Minąłem drzwi do swego mieszkania. Wiedziałem, że są zamknięte na zasuwę. Zanim zdążylibyśmy otworzyć je kluczem, miałby dosyć czasu, aby pokroić mnie na kawałki. Pędziłem więc coraz wyżej i wyżej, wbiegając z piętra na piętro i ciągle słysząc za sobą jego oddech. Chciałem krzyczeć, wołać o pomoc, ale prężenie uniemożliwiło wydobyć głosu. Mogłem tylko bić po dwa stopnie do góry, aż znalazłem się na schodach, z których runęła pani Wróblewska. Pokonałem je błyskawicznie i utknąłem w pułapce poddasza. Z jednej strony zamknięte na głucho drzwi do pustego mieszkania po zmarłej, z drugiej — zatrzaśnięte na solidną kłódkę wejście na strych. A pośrodku ściana. Trzy metry kwadratowe śmiertelnej pułapki, miejsca kaźni „Hamburgra”, krwawej kary za zadenuncjowanie przyjaciela-mordercy.

Roch zatrzymał się na półpiętrze. Już się nie spieszył, wiedział, że nie mam dokąd uciekać. Z zaciśniętym w prawej dłoni bagnetem wszedł na schody i ruszył powoli w moją stronę. Upiorną ciszę przerywały dwa dźwięki: walenie mojego serca i odgłos jego kroków. Dotarł już prawie na szczyt schodów, gdy nagle wydarzyło się coś dziwnego. Piętnastoletni zabójca zachwiał się i rozpaczliwie zamachał rękami jakby stracił równowagę. Przez kilka sekund które wydały mi się godzinami, ślizgał się człowiek, który nieoczekiwanie wszedł na łód. Nie udało mu się utrzymać na nogach. Ze stłumionym okrzykiem runął do tyłu i stoczył się na półpiętro.

Przez moment panowała cisza. Przerwał ją jęk, głuchy, pełen bólu i cierpienia jęk umierającego człowieka. Męka konania nie trwała długo. Roch Kolas zamilkł wkrótce, zamilkł na zawsze. W półmroku widziałem go leżącego na lewym boku oraz jego dłoń zacisniętą ciągle na rękojeści bagnetu. Bagnetu tkwiącego do połowy długiej klingi w jego brzuchu.

Nachyliłem się nad schodami i pościęgnąłem palcem po stopniu. Pokryty był grubą, oślizłą substancją. Podniosłem palec do nosa. Poczułem znajomy zapach.

— Mydło — szepnąłem.

A przecież, gdy uciekając wbiegłem na poddasze, schody były suche. Rozsmarowane mydło pojawiło się na stopniach, kiedy Roch wszedł na nie, aby mnie zabić.

Gdy po otrząśnięciu się z szoku, po kilkunastu minutach, ostrożnie zacząłem schodzić, stopnie znowu były suche. Po mydle nie pozostał najmniejszy ślad.

PIOTR KITRASIEWICZ

MIŁOŚĆ niejedno ma imię

Wdobie dzisiejszego boomu prywatyzacyjnego o Irenie i Stanisławie W. można mówić jako o kapitalistach z tradycjami. Zaczynali w latach siedemdziesiątych w Katowicach, szyjąc fizeleinowe prześcieradła i chusty operacyjne. Ponieważ dla ówczesnych kolosów socjalistycznego przemysłu działalność państwa W. była nieopłacalna, stąd mogli w miarę spokojnie rozwijać interes.

W dwadzieścia lat później małżonkowie W. dorobili się doskonale prosperującego interesu, w którym sprowadzone z Austrii maszyny wytwarzają specjalistyczne przybory medyczne (strykawki, przewody do kroplówki, saneczki).

niemal w ostatnich latach interes rozwijał się coraz lepiej, państwo W. postanowili otworzyć drugi zakład w Warszawie. Znaleźli odpowiedni lokal, cena najmu również okazała się przystępna. Pech jednak chciał, że niemal w tym samym czasie małżonka Stanisława W. uległa wypadkowi drogowemu i na długie miesiące, po licznych interwencjach medycznych, wyładowała jako rekonwalescentka w domowych pieleszach.

Ponieważ warszawski biznes zaczął nabierać tempa, pan W. musiał być stale obecny w stolicy i tylko na krótko wpadał do rodzinnych Katowic.

Kompletując siłę biurową w warszawskiej filii pan W. odrzucił wiele ofert pań, które ubiegały się o stanowisko sekretarki bossa. Pewnego dnia drzwi biura otworzyła kolejna kandydatka, Maria Z. Wówczas pan Stanisław był pewny — to właśnie ta. Oczywiście, na początku miał jedynie na myśli fakt zaangażowania zgrabnej i zdolnej pomocy biurowej. Po jakimś czasie między obojgiem zawiązała się nić sympatii. Ta wkrótce przerodziła się w gorące uczucie. Fakt, że obie strony dzieliła spora różnica lat, okazał się bez znaczenia. Pani Maria tym goręcej zaczęła obdarzać narzeczonego dowodami uczuć, gdy dowiedziała się, że Stanisław jest wolnego stanu, a z rodzinnych stronami wiąże go jedynie schorowana matka staruszka.

Oczywiście, zakochana w szefie kobieta nie była świadoma tego, że podsunęty jej pod nos dowód osobisty pana Stanisława został wyrobiony przed miesiącem, a jego właściciel

zgłaszając zagubienie starego dowodu tożsamości w rubryce „stan cywilny” wpisał nieprawdźliwie „wolny”.

Warszawska idylla młodej pary trwała kilka miesięcy. Kłopoty zaczęły się wówczas, gdy pierwsza małżonka pana Stanisława wyraziła chęć odwiedzenia pomieszczeń warszawskiej filii. Przez jakiś czas troskliwemu małżonkowi udawało się odwozić żonę od tego pomysłu. Aż pewnego dnia Irena W. postanowiła sprawić niespodziankę ślubnemu i choć jeszcze o kulach pojechała do Warszawy. W biurze, niestety, go nie spotkała. Przywitała ją zaś Maria W., która nie bardzo potrafiła zrozumieć, czego od tej firmy, a tym bardziej męża, chce przyjeżdżać.

Obie kobiety mówiły dużo, często sobie przerywały i podnosiły na siebie głos. Dość szybko jednak znalazły wspólny język, jak też przekonanie, że miast kochanego Stanisława mają do czynienia z obrzydliwym bigamistą.

Niestety, pan W. nie dożył dnia, kiedy to musiałby przed sądem tłumaczyć się z podwójnego małżeństwa. Ot, pewnego dnia zszedł z tego świata powalony atakiem serca. Wcześniej zdołał przepisać część majątku na nową żonę, która choć w świetle prawa nie mogłaby uchodzić za prawowitą małżonkę, to jednak w świetle tegoż samego prawa mogła już odegrać rolę prawowitej spadkobierczyni. C'est la vie!

PAWEŁ SZLACHETKO

UWAGA! SKRADZONE DOWODY OSOBISTE

Ze względu na zwiększającą się liczbę przestępstw (najczęściej finansowych), w których używane są sfalszowane druki dowodów osobistych, w kolejnych numerach „MK 997” zamieszczamy stałą rubrykę z wykazem skradzionych z urzędów wojewódzkich numerów i serii dowodów osobistych i dowodów tymczasowych. Informacja, za pośrednictwem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, pochodzi z urzędów wojewódzkich całego kraju.

DD 0970982
DD 0970983
DD 0970986
DD 1328097
DD 1332902
DD 1332905
DD 1572683 — 1572800
DD 1628324
DD 1628325
DD 1628327 — 1628350
DD 1628375 — 1628400
DD 1730439
DD 1730418
DD 1730437
DD 1730443
DD 1730444
DD 1730446
DD 1730447
DD 1730449
DD 1855925 — 1855931
DD 1855933 — 1856034
DD 1856036 — 1856100
TD 3818086 — 3818100
TD 4028783 — 4028800
TD 4048445
TD 4060281
TD 4060282



SALONY MEBLI IMPORTOWANYCH I KRAJOWYCH

WALTNER

OFERUJĄ

MEBLE DO WSZYSTKICH WNĘTRZ

NAJWYŻSZA, ŚWIATOWA JAKOŚĆ

CENY PROMOCYJNE

DLA OSÓB Z KUPONEM
„MAGAZYN KRYMINALNEGO 997”

7% TANIEJ



SALONY WALTNERA

Warszawa, ul. Domaniewska 41,

tel. 43-20-01

ul. Wysockiego 6

tel. 11-04-53

ul. Waszyngtona 45/51

SALONY CZYNNE

PRZEZ 7 DNI

W TYGODNIU



Fundacja Sportu w Policji „Fair Play”

zaprasza
do udziału w

IV Ogólnopolskiej Wystawie Systemów Ochrony

Pałac Kultury
i Nauki
w Warszawie



5-8
października
1994

Tematyka wystawy:

- *systemy sygnalizacji włamania i napadu
- *systemy przeciwpożarowe
- *systemy kontroli dostępu i czasu pracy
- *systemy telewizji użytkowej
- *systemy monitorowania
- *systemy autoalarmowe
- *inne systemy zabezpieczające
- *wyposażenie techniczne ekip ochrony

Firmy zainteresowane uczestnictwem proszone są o kontakt z Biurem Organizacyjnym Wystawy GARDa '94:

Fundacja „Fair Play”, ul. Śniadeckich 10,
00-656 Warszawa, Tel.: 29-66-30, 628-75-71, Fax: 29-65-74



W Bydgoszczy w dniach 23–24 czerwca, w ramach I Międzynarodowych Mistrzostw Polski Policji w Judo, na matach w hali klubu sportowego „Polonia” twardą rywalizację toczyli ze sobą zawodnicy z kraju oraz z zagranicy. 90 funkcjonariuszy ze wszystkich województw (najliczniejsze były ekipy reprezentujące Wrocław, Warszawę i Gdańsk) walczyło w dwóch kategoriach wiekowych: do 35 lat oraz powyżej. Dopisali również przedstawiciele policyjnych judoków innych państw: Litwy, Rumunii, Słowenii. Przybył także reprezentant Belgii. Ekipa Albanii nie dotarła mimo wyrażonej listownie chęci wzięcia udziału w walce o tytuł międzynarodowego mistrza Polski. W sumie stawilo się 25 obcokrajowców. Jak się później okazało, niektórzy z nich byli bardzo groźnymi przeciwnikami, zwłaszcza zawodnicy rumuńscy.

POJEDYNKI na matach

Mistrzostwa odbyły się z inicjatywy Policyjnego Towarzystwa Sportowego w Bydgoszczy. Stowarzyszenie to, razem z bydgoską KWP, było również organizatorem imprezy. Pomocy udzieliła sekcja polska IPA, a także wielu pozaresortowych sponsorów, których reklamy zdobiły halę „Polonii” podczas pojedynków eliminacyjnych i finałowych.

— Towarzystwo nasze istnieje od jesieni 1993 roku i powstało z inicjatywy policjantów garnizonu bydgoskiego — powiedział prezes PTS Sylwester Droż. — Mamy trzy sekcje: judo, strzelectwo i TKKF, w skład tej ostatniej wchodzić mają zajęcia rekreacyjne, takie jak: turystyka, brydż sportowy, siatkówka. Zadaniem naszego stowarzyszenia jest wspomaganie policjantów w rozwoju ich tężyzny i sprawności fizycznej.

Proszę o wypowiedź Jerzego Rokity, na co dzień podkomisarza w bydgoskiej komendzie wojewódzkiej.

— Jestem old boyem, w zeszłym roku zdecydowałem się na udział w rywalizacji po 13-letniej przerwie.

— I zwyciężył pan. Co będzie dzisiaj? Zakwalifikował się pan już do finału, za chwilę będzie pan walczył o złoto.

— Zobaczymy — odpowiada wymijająco pan Jerzy.

Wkrótce pokazał, co potrafi. Odniósł najbardziej spektakularne zwycięstwo w mistrzostwach. W wyniku efekownego rzutu powalił swojego przeciwnika na obie łopatki, co zakończyło obliczoną na cztery minuty walkę już po kilkunastu sekundach. Stoczony przez niego pojedynek był najkrótszy w całej imprezie. Inny faworyt gospodarzy, Jarosław Langner, musiał tym razem zadowolić się medalem brązowym.

W każdej z kwalifikacji wiekowych (do i powyżej 35 lat) było siedem kategorii wagowych. Łącznie więc na najwyższym podium stanęło 14 złotych medalistów. Z nich wyłoniono trzech najlepszych zawodników. Pierwsze miejsce zajął Jerzy Rokita, drugie Krzysztof Wojdan z Krakowa, trzecie — Krzysztof Czerw, reprezentujący Gdańsk. Zawodnicy ci otrzymali nagrody specjalne (pieniężne) ufundowane przez ministra spraw wewnętrznych (15, 10 i 8 milionów złotych). Komendant wojewódzki z Bydgoszczy podinsp. Jan Ludek ufundował własną nagrodę dla najlepszego zawodnika bydgoskiego. Otrzymał ją, oczywiście, Jerzy Rokita, zdecydowany lider i gwiazdor tej imprezy. Ba, przewyższa-

jąc znacznie swoich rywali nie tylko umiejętnościami, ale i w liczbie zebranych honorów i nagród, otrzymał jeszcze puchar sekcji polskiej IPA dla najlepszego sportowca zawodów. Za najlepszego zawodnika zagranicznego, według punktacji kierowników ekip, uznano Rumuna Adriana Secheli, złotego medalistę i międzynarodowego mistrza Polski w jednej z kategorii.

W punktacji drużynowej na pierwszym miejscu znalazła się ekipa Warszawy, na drugim Wrocławia. Trzecie miejsce zajęła drużyna gospodarzy. Rozdawany nagrodom i wyróżnieniom nie było końca. Otrzymali je najlepsi judocy z każdej z czterech ekip zagranicznych. Adrian Secheli został ponownie wyróżniony. Samotny zawodnik belgijski uznany został za „najlepszego” ze swojej „ekipy” i z nagrodą powrócił do kraju. Warto jeszcze zaznaczyć, że sędzią głównym zawodów był Jerzy Banaszek z Warszawy, a wystrój estetyczny sali oraz projekty medali i dyplomów wykonał Kazimierz Łątka.

Rywalizację zawodników z nami obserwowali goście imprezy, z ministrem spraw wewnętrznych Andrzejem Milczanowskim na czele, który wręczał medale i dyplomy zwycięzcom w każdej z kategorii wagowych. Wśród gości znajdowali się także m.in. zastępca komendanta głównego Policji nadinsp. Zdzisław Centkowski oraz członek Rady Sportu przy Prezydencie RP Marek Bukowski. Zagranicę reprezentowali: generalny inspektor policji Słowenii Borys Gola i przedstawiciel ministra spraw wewnętrznych Rumunii plk Adrian Mateşoi.

W swoim wystąpieniu podinsp. Jan Ludek podkreślił walory sportowe imprezy, podziękował uczestnikom i fundatorom nagród oraz zaprosił wszystkich do Bydgoszczy za rok na kolejne, czyli II Międzynarodowe Mistrzostwa Polski Policji w Judo.

— Z niekłamną przyjemnością przybyłem na ten turniej — powiedział minister Andrzej Milczanowski. — Zawsze uważałem judo za piękny, trudny i szlachetny sport. Gratuluję wam wszystkim. Jak długo będę kierownikiem resortu, będę wspierać sporty walki, a zwłaszcza judo.

Ceremonii zamknięcia zawodów dokonał prezes Polskiego Policyjnego Związku Sportowego nadkom. Włodzimierz Ciał.

PIOTR KITRASIEWICZ
zdj. Krzysztof Mokrzyzewski

1994

HOROSKOP

NA SIERPIEŃ

Baran
(Aries)
21 III — 20 IV



Nareszcie chwila oddechu. Po tak ciężkich i pracowitych tygodniach należy Ci się coś od życia. Czekaj Ci wiele atrakcji i niespodzianek. Jakieś miłe spotkania i spacerki, może nawet przy księżycu. Oby pogoda dopisała, ale w tej materii trudno cokolwiek powiedzieć. Kaprysy aury zaskakują najlepszych jasnowidzów. Ale Ty nie będziesz miał na co narzekać.

Lew
(Leo)
23 VII — 22 VIII



Zapomnij o swoich ambicjach i po prostu odpoczywaj. Nawet jeśli będziesz musiał zostać w domu. Znajdziesz niejedną okazję, aby pozwolić sobie na relaks. Zorganizuj Ci go rodzina, znajomi, instytucje kulturalne. Tylko przebiegać. I naprawdę odłóż na bok swoje ambicje. Teraz i tak nie będziesz mógł realizować ich w pełni. Taki miesiąc.

Strzelec
(Sagittarius)
22 XI — 21 XII



Nie możesz wszystkiego robić sam. Nie masz na to ani siły, ani możliwości. Szczególnie finansowych. Nie spodziewaj się szybkiej poprawy sytuacji. Realnie podchodź do najbliższych wydarzeń. One naprawdę wymagają twardego stąpania po ziemi. Każdy nie przemyślany krok może obrócić się przeciwko Tobie. Nie strój więc od tych, którzy chcą i mogą przyjąć Ci z pomocą.

Ryś
(Taurus)
21 IV — 20 V



Przejściowe problemy z niedostatkiem pieniędzy nie powinny przeszkodzić Ci w najbliższych planach rodzinnych. Mało tego, stać Cię będzie na coś, o czym nawet śnić nie śmiałeś. To będzie prawdziwa niespodzianka i ogromne zaskoczenie. Tylko Twój znajomy nie będzie potrafił zrozumieć, skąd w Tobie tyle euforii. Ale to wcale nie jest ważne.

Panna
(Virgo)
23 VIII — 22 IX



Przekonasz się, ile znaczy zaufanie do samego siebie. Ale z Ciebie niedowiarek. Na szczęście, masz wokół siebie bardzo życzliwe gro- no znajomych. Oni znają Cię już na tyle, że wyczują Twój nastrój i szybko dotrą do jego przyczyn. Ani się obejrzyś, a wyprowadzą Cię ze złego stanu ducha. Wszystkie kłopoty od razu wydadzą się mocno przesadzone.

Koziorożec
(Capricornus)
22 XII — 19 I



Trochę wojaży, trochę pracy. Ta ostatnia okaże się dość męcząca, ale jakże satysfakcjonująca. Będzie wiele powodów do radości. Nie tylko na gruncie służbowym. Także rodzinnym i towarzyskim. Twoje niedowierzanie we własne możliwości będzie po prostu czymś wysłanym z palca. Ktoś bardzo wyraźnie da Ci to do zrozumienia. Tylko czy Ty zechcesz w to uwierzyć. Może pod koniec miesiąca...

Bliznięta
(Gemini)
21 V — 20 VI



Złeczone Ci zadania zagonią Cię w wir bardzo wyętej pracy. To nie będzie łatwy okres. Czekaj Ci kilka pracowitych tygodni, w których niewiele osób będzie mogło Ci pomóc. Zabraknie kompetentnych fachowców. Wiadomo dlaczego. Urlopy. Niech Cię to jednak nie przeraża. Ze wszystkiego wywiążesz się na piątkę z plusem i z tego tytułu zostaniesz co najmniej pochwalony.

Waga
(Libra)
23 IX — 22 X



Praca wbrew pozorom nie będzie taka ciężka. Jakoś niewiele nowych spraw spadnie na Twoją głowę. Inni za to będą się bardzo biedzić. Może nawet zwrócą się o pomoc, której na pewno będziesz w stanie udzielić. Poza tym wszystko w porządku. Pewien niespodziewany kłopot szybko zamieni się w kłopot i miesiąc można będzie uznać za wyjątkowo udany.

Wodnik
(Aquarius)
20 I — 18 II



Naprawdę podołasz wszystkiemu. Nie martw się tym, ile roboty zastaniesz w najbliższym czasie w pracy. Służba nie druzba. Przynajmniej czas nie będzie się dłużył, co chyba docenisz najbardziej. Zwłaszcza że będziesz czekał na finał pewnej ciekawej, z dawna już zapowiadanej sprawy. Głowa do góry. Ani się obejrzyś, a znajdziesz się w centrum ważnych wydarzeń.

Rak
(Cancer)
21 VI — 22 VII



Wszystkie sprawy powinny wyjaśnić się lada dzień. Ale uważaj, ktoś wyraźnie szuka zwady i będzie próbował skłócić Cię z resztą kolegów. Nie wiadomo dlaczego. Być może dowiesz się tego od Koziorożca. Ten często jest dobrze poinformowany. Można polegać na jego orientacji. Tymczasem nie próbuj ciągnąć go za język na siłę. Bardzo tego nie lubi.

Skorpion
(Scorpius)
23 X — 21 XI



Niech Cię nadal nie korci podejmowanie życiowych decyzji. Na razie możesz je tylko planować, rozmawiać o nich, ale czas realizacji nadejdzie później. Teraz temu niewiele sprzyja. Możesz zająć się spokojnie jakimiś rodzinnymi zaletami. Trochę się ich nabięrało i lepiej to szybko załatwić. Potem zabraknie Ci na to siły i na wszystko może być po prostu za późno.

Ryby
(Pisces)
19 II — 20 III



Możesz spokojnie czekać dalej na rozwiązanie problemu. W najbliższym czasie nic szczególnego się nie wydarzy i nie przyspieszy biegu spraw. Trochę to Ci nie na rękę. Ale czy aby nie przesadzasz ze swoją obowiązkowością. Twoje nerwy nic tu nie pomogą. Lepiej zajmij się sobą. Łatwo znakomicie temu sprzyja. Na za- dbaniu o swoje zdrowie fizyczne i psychiczne wyjdiesz o wiele lepiej.

magazyn
997
kryminalny

WYDAJE
KOMENDA GŁÓWNA POLICJI
ZESPÓŁ REDAKCYJNY: ELŻBIETA
CIERLICA (redaktor naczelny
601-61-26, 48-98-10 lub MSW 149-70),
Waldemar Gajewski, RYSZARD HRY-
CYK (red. graficzny), Przemysław Ka-
cak, Piotr Kitrasiewicz, Tadeusz No-
szczyński, Edward Nowak, MARIA
PAWLAK (sekretarz redakcji, 601-61-32,
48-14-30), Adam K. Podgórski (od-
dział red. w Katowicach, 510-221 w.
1965), Zygmunt Podhoroński, Elżbie-
ta Sitek, Paweł Szlachetko, Hanna
Świeszcakowska, MARCEL TABOR
(zastępca red. naczelnego, 601-61-72,
48-14-30), Krzysztof Zaczekiewicz (red.
techniczny).

FOTOREPORTERZY: Krzysztof Mo-
krzyszewski, Krzysztof Połocki

ADIUSTACJA I ŁĄCZNOŚĆ Z CZY-
TELNIKAMI: Agata Guzdek-Wrotna
(601-61-15)

KOREKTA: Małgorzata Boruta, Elżbie-
ta Mirowska

KOLPORTAŻ I MARKETING: Teresa
Tomaszewska (601-68-66)

STALE WSPÓŁPRACUJĄ: K. Górniak, S.
Jung, J. Kirzyński, Z. Matwiej, M. Owczar-
ek, J. Paciorkowski, Z. Razmuk, M. So-
kalska, L. Terpiłowski.

ADRES REDAKCJI: 02-672 Warszawa,
ul. Domaniewska 36/38, skr. poczt. 12.
Telefon sekretariatu 601-61-26, kasa
601-60-86, tel./fax 601-68-67 lub MSW
168-67. Redakcja nie zwraca materia-
łów nie zamówionych oraz zastrzega
sobie prawo skrótów i zmiany tytułów
nadesłanych artykułów.

PRENUMERATA

I. Zamówienia na prenumeratę od
osób cywilnych i instytucji przyjmują
terenowe oddziały Zakładu Kolporta-
żu Prasy i Wydawnictw „Ruch”.
II. Funkcjonariusze, pracownicy cy-
wilni Policji oraz emeryci i renciści re-
sortowi zamawiają prenumeratę u na-
szego kolportera w najbliższej jed-
nostce Policji.

Reklamacje w sprawie kolportażu
kierować pod adresem redakcji: ul.
Domaniewska 36/38 02-672 Warszawa
tel.: 601-68-66, 601-61-26. Fax: 6016867.
Konto bankowe: Okręgowy Oddział
NBP Warszawa nr 1052-7995-130 ZAG
(prenumerata).

Wyłączny dystrybutor na Kanadę

VARTEX DISTRIBUTING Inc.
75 Lemonwood Dr Unit 301
Islington, Ontario M9A 4L3
tel. (416) 240-8792
fax (416) 241-3570

OGŁOSZENIA: Przyjmujemy pod ad-
resem redakcji „MK 997”. Cena: słowo
— 7000 zł, cm² — 15 000 zł. Kolorowe
dwukrotnie droższe. Za treść ogłoszeń
redakcja nie odpowiada.

DRUK: Wojskowe Zakłady Graficzne,
00-950 Warszawa, ul. Grzybowska 77.

numer zamknięto 27 VII 1994 r.
Zam. 40847
REDAKTOR DYŻURNY
WALDEMAR GAJEWSKI

TELESKOP

FRASZKA

Leszek i mieszek
Przyjaciół poznaje
się w biedzie minie,
a gdy się nie poznaje,
ludzi się nie poznaje.

JERZY LESZCZYŃSKI

MYŚLI

Lubię myśleć o sobie jako o tym jednym
przeciwko wszystkim.

Woody Allen

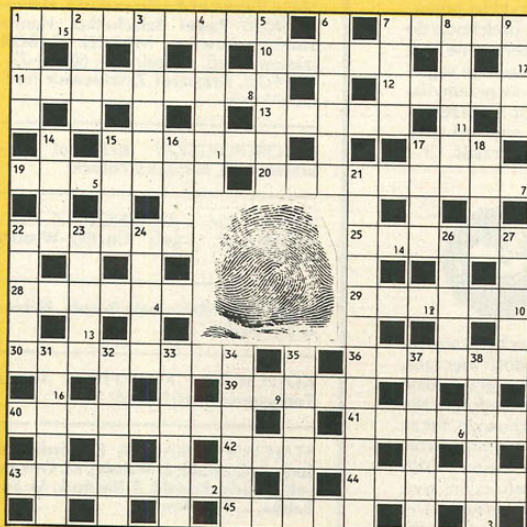
Technologia niechcący, samą mocą przenoszenia in-
formacji, kształtuje nasze znieczulenie i narkozę moral-
ną.

Stanisław Lem

Sądzę, że Bogu modlący się muszą wydawać się trochę śmieszni.

Norman Mailer

KRZYŻÓWKA nr 15



Poziomo: 1 — wypełniony nabojami, 7 — owoc sukcesu, 10 — stan upadku, 11 — pożeraczka czasu, 12 — w kinie, 13 — w murze lub w utartych poglądach, 15 — budowane wokół orzeczeń, 17 — prawy lub lewy, 19 — osobnik dokonujący napadów, morderstw, 20 — śledzenie, 22 — pocisk ręczny, 25 — cienka, przejrzysta tkanina, 28 — powieść Dostojewskiego, 29 — najwyższy szczyt Kaukazu, 30 — praktykant prawniczy, 36 — cykl zabiegów od zasiewu do zbioru, 39 — pewność siebie, 40 — oddział konnej eskorty honorowej, 41 — skacze po górach, 42 — po same brzegi, 43 — z radości do góry lub ze spadochronem, 44 — np. wysokość, 45 — nasza waluta.

Pionowo: 1 — melina, 2 — strzelane na bramkę, 3 — liczne sportowe rozgrywane, 4 — między depresją a wyżyną, 5 — do garnituru wiązany, 6 — życie jest formą jego istnienia, 7 — karabin maszynowy-krótko, 8 — z niego pudełko, 9 — treść, wymowa czegoś, 14 — klatka filmu, 15 — piec buduje, 16 — argument przeciw komuś, 17 — pościel bylejaka, 18 — tu „idą” filmy, 21 — w Polsce międzywojennej: szeregowy policjant, 22 — tak też o policjancie, 23 — satelita Urana, 24 — cenny w „Desie”, 26 — puszczana, 27 — nasze auto dostawcze potocznie, 31 — drobne zabrudzenie, 32 — z koralami drób, 33 — komuś robiony, 34 — czworobok, 35 — łódź wydrążona z pnia, 37 — wszystkie zjadł niejeden, 38 — ocieplana kurtka robocza.

Po rozwiązaniu krzyżówki należy odczytać hasło, powiedzenie, które tworzą litery w kratkach oznaczonych w prawym dolnym rogu cyframi od 1 do 17:

(.....) (.....) (.....) (.....) (.....)
1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17

Rozwiązania (samo hasło) prosimy nadsyłać pod adresem redakcji na kartkach pocztowych z naklejonym kuponem.

BOŻENA CHMIELEWSKA

Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania rozlosujemy nagrodę — 500 000 złotych.

Rozwiązanie krzyżówki nr 11:

„Mało do mała uczyni wiele”

Nagrodę wylosowała Małgorzata Kamińska z Piastowa (woj. stołeczne warszawskie).

MK
15/94
KRZYŻÓWKA

PLATNY MORDERCA ZASTRZELIŁ NIEDOSZŁEGO ODNOWICIĘŁA PAŁACU KULTURY I NAUKI

Po przeszło trzymiesięcznym intensywnym śledztwie policja amerykańskiego stanu Wirginia ustaliła ostatnio, że urodzony w Polsce amerykański biznesmen John Kowalczyk, zamordowany w czerwcu na parkingu w miejscowości Vienne pod Waszyngtonem, zginął z ręki płatnego mordercy 32-letniego Ralph Shambaugh. Wynajął go były teść ofiary, emerytowany pułkownik Stanley Hyman.

Kowalczyk w 1990 roku ogłosił plan przebudowy Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie, jednakże później interesy zaczęły kuleć i jego firma zbankrutowała. Rozwiódł się z córką Hymana dla innej kobiety, mężatki, z którą po pewnym czasie również się rozstał. Hyman nie mógł wybaczyć zięciowi, że porzucił jego córkę, naraził jej rodzinę na wysokie koszty rozvodu (160 tys. dolarów) i za mało płacił na utrzymanie dzieci.

Śledztwo ujawniło powiązania między emerytowanym pułkownikiem a Ralphem Shambaughem, m.in. nadejście znacznego przekazu pieniężnego na konto domniemanego mordercy wkrótce po zastrzeleniu Kowalczyka. Wcześniej o zabójstwo podejrzewano męża kochanki Kowalczyka, a nawet żonę Hymana, która kupiła pistolet takiego samego typu i kalibru, z jakiego zastrzelono przedsiębiorcę z Polski.

70-letni płk Hyman popełnił samobójstwo wraz z żoną. W listach pożegnalnych napisał, że nie ma nic wspólnego z zabójstwem Kowalczyka, ale nie może znieść dłużej napięcia związanego ze śledztwem.

Platnemu zabójcy Shambaughowi grozi kara śmierci.

(gi)

ZAPAMIĘTAJ:

Dramat polskości polega na tym, że w całym społeczeństwie i każdym z nas z osobna tkwi mieszanina megalomanii i cierpiętnictwa. Z jednej strony poczucie posłannictwa dziejowego, z drugiej — niemożność.

prof. Aleksander Krawczuk

Fot. Paweł Szlachetko

POLICJA CHIŃSKA WALCZY Z KOLEJOWYMI GANGAMI

Chińska policja podjęła bezpardonową walkę z gangami grasującymi w pociągach ekspresowych na transsyberyjskiej trasie Pekin—Moskwa. W ostatnich kilku miesiącach zatrzymano 71 członków czterech takich gangów.

Chińscy gangsterzy terroryzowali pasażerów, kradli pieniądze i bagaże, wyłudzały okupy, gwałcili pasażerki, zajmowali się hazardem i stręczycielstwem. Pasażerów zastraszano nożami, pistoletami, pałkami elektrycznymi i kajdanami. Dochodziło też do bójek między rywalizującymi gangami.

Według chińskiej policji, wartość zrabowanych pasażerem bagaży i pieniędzy wyniosła ponad milion juanów (170 tys. dol.). Gangsterzy przebywali w pociągach pod pretekstem podróży do Rosji i innych państw Europy Wschodniej „w celu podjęcia pracy, nauki bądź odwiedzenia znajomych”. Prawdziwym jednak celem rozjazdów były: rozbój, nielegalny handel, hazard i odwiedzanie moskiewskich prostytutek. W ujęciu, przesłuchiowaniu i deportacji gangsterów pomagała chińskim siłom porządkowym rosyjska milicja. Władze w Pekinie twierdzą, że skuteczna akcja policji położyła kres przestępczej działalności w ekspresach Pekin—Moskwa i bezpieczeństwu podróżnych ponoc już nie zagraża.

(gi)



Koncesjonowana
Agencja Ochrony
Mienia i Osób
05-220 Zielonka
ul. Przemysłowa 2
tel. 679-45-26 w. 932
679-48-00 w. 530

